

Bajki o Lublinie

Wydawca:
Urząd Miasta Lublin
Wydział Strategii i Obsługi Inwestorów
20-080 Lublin, plac Litewski 1

tel. +48 81 466 2500, fax +48 81 466 2501
e-mail: inwestorzy@lublin.eu

Tekst:
Weronika Czerniak

Ilustracje:
Katarzyna Wójcik

Opracowanie graficzne:
IW

Redakcja:
Łucja Oś-Goś

ISBN: 978-83-949126-5-9

Opowieść o początkach miasta	5
Mistrz zegarów	13
O kapryśnej hrabiance.	21
Myszaki z wodnego młyna	29
Hotelowy gość.	35
Zegar historii.	43
Tajemnica starej oficyny	49
Piękno w fotografii zaklęte	57
O chlebowym koguciku	65
Historia w książce zamknięta	73
O uczuciu w rzeźbie zaklętym	81
Magia muzyki	89



Opowieść o początkach miasta

Dawno, dawno temu wśród zielonych lasów, na Czwartkowym wzgórzu stał wielki gród zamkowy zwany Grodziskiem. Władał nim dobrotliwy książę Lin. Cieszył się on ogromnym szacunkiem wśród swoich poddanych, nikogo bowiem nie zostawiał w potrzebie. Co dzień odwiedzał osady handlowe, pytając kupców, jak idą interesy, otaczał opieką dzieci, wspierając rozwój szkół, a także pomagał okolicznym rybakom w połowach. To zajęcie książę Lin cenił szczególnie i z wielką chęcią wypływał z nimi łodzią na szerokie wody.

– Takiego władcy daremnie szukać w innych grodach! – mawiali poddani, kłaniając się Linowi w pozdrowieniu.

Wydawać by się mogło, że Lin wiedzie bajkowe życie, jednak próżno było szukać uśmiechu na jego młodym obliczu. Lin był bardzo samotny. Martwili się jego rodzice, król i królowa, smucili się dworzanie, gdyż żadna młoda dama ze szlacheckiego rodu – a książę spotkał ich wiele na zamkowych przyjęciach i balach – nie skradła jeszcze jego serca.

– Czas już szukać żony, synu – napominał go co rusz król.

Smutek ogarniał wtedy księcia Lina, bo żadna ze znanych mu, szlacheckie urodzonych panien nie wydawała się wystarczająco dobra, by dostąpić zaszczytu zamieszkania wraz z nim na zamku. Były wśród nich dziewczęta śliczne, ale leniwe, przyzwyczajone do królewskich wygód i niechętnie do pomocy poddanym.

– Moja małżonka nie może bać się ciężkiej pracy. Powinna miłować poddanych i wspierać ich w trudach życia – odpowiadał młody władca.

Mijały lata, król i królowa starzeli się, a Lin pozostawał sam.

– Taki już mój los – mawiał książę. – Sam będę rządził grodem.

Przyzwyczajął się powoli do myśli, że po śmierci króla przyjdzie mu samotnie spędzić życie.

– Dobro poddanych jest najważniejsze. Wszystkiemu stawię czoła. Niezależnie od tego, co przyniesie mi życie – mawiał dzielny książę, choć w duchu zamartwiał się czasem, że nikt nie wesprze go w codziennych obowiązkach.

Z podziwem patrzył na rodziców, którzy mimo upływu lat kochali się tak samo jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

– Nie każdy ma szczęście odnaleźć swoją drugą połowę – tłumaczył sobie książę. – Ale królom nie wypada zajmować się takimi błahostkami. Czeka mnie wiele pracy.

Pewnego razu na dwór królewski przybyli zdenerwowani rybacy, którym Lin zawsze chętnie pomagał w połowach.

– Umiłowany książę! Coś straszego się dzieje w naszym grodzie! Jakaś zaraza rozpanoszyła się w rzekach i potokach... Nie ma tam już ryb, naszym rodzinom grozi głód. Pomóż nam, władco!

Zaniepokojony tą wieścią Lin obiecał przyjrzeć się sprawie.

– Nie bójcie się, poddani! Nie zostawię Was w potrzebie – obiecał książę. Osiodłał konia i jeszcze tego samego dnia wyruszył w kierunku najbliższej osady, by zbadać, co dzieje się w wodach.

Słońce już zachodziło, gdy Lin dotarł nad rzekę, gdzie postanowił odpocząć przy brzegu. Napoił konia, uwiązał go u brzegu, wypuścił na środek rzeki łódź i zarzuciwszy sieć rybacką, czekał. Mijały godziny.

„Czy to zły urok rzucony na wody? Co będą jedli moi rybacy?” – rozmyślał.

Wtem spostrzegł, że sieć gwałtownie się rusza. Coś wpadło do środka!

– Jaka wielka ryba! – wykrzyknął książę, trudząc się z całych sił, by wyciągnąć duże znalezisko z głębin wody.

Jak wielkie było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że w sieć zaplątała się piękna dziewczyna.

– Syrena! Nie wierzę! – szepnął książę, wyciągając przestraszoną dziewczynę na brzeg. – Jak ci na imię, niebieskooka? – zapytał książę.

– Lubla – odparła syrena. – Nie krzywdź mnie, władco. Mam moc spełnić twoje trzy życzenia, jeśli tylko pozwolisz mi powrócić do wodnych otchłani.

– Trzy życzenia, powiadasz? Niechaj będzie. Pragnę, by ryby wróciły do brzegów wód w moim królestwie, tak by rybacy mogli na powrót wykarmić swoje rodziny.

– Tak też się stanie, gdy nazajutrz wrócisz do Twojego grodu. Czy Twoje serce pragnie czegoś jeszcze? – spytała cichym głosem syrena.

– Chciałbym, by mój ojciec odzyskał siły. Postępująca choroba przykuła go do łóżka. I by moim poddanym nigdy nie zabrakło już chleba.

– Wszystko się spełni, miłościwy książę. A teraz pozwól na powrót do mojego morskiego domu.

Lin wypuścił syrenę, ufając jej słowom, i zasnął wkrótce, zmęczony trudami podróży. Przysniła mu się pięknoooka Lubla, uwięziona w sieć, wołająca o ratunek.

Zanim słońce wstało, Lin zapakował swój dobytek i rozpoczął powrotną podróż do grodu. Nie mógł zapomnieć o wydarzeniach ostatniej nocy i pięknej Lubli, która obiecała mu pomoc. Na zamku przywitali go uradowani rybacy.

– Panie, ryby powracają do brzegów! Jak tego dokonałeś?

Lin uśmiechnął się tylko. „To Lubla” – pomyślał. Nim zdążył spotkać się z rodzicami, przed bramy Grodziska żwawo wybiegł uradowany ojciec, który wyglądał dużo młodziej. Jak gdyby ubyło mu kilkanaście lat w jeden wieczór.

– Synu najmilszy! Ja znowu chodzę! – wykrzyknął król.

Lin nie wierzył w to, co właśnie ujrzał. Lubla nie kłamała! Spełniła każde życzenie. Książę postanowił podziękować syrenie i kolejnego dnia wybrał się na miejsce, w którym ją spotkał. Na próżno jednak zarzucił sieć, na próżno głośno przywoływał jej imię.

– Lubla, Lubla! – jedynie echo niosło jego smutny głos, odbijając wołanie o tafle wody.

Smutny książę powrócił do zamku. Nie mógł zapomnieć o tajemniczej Lubli.



Szukał jej co dzień, wracając nad rzekę.

– Gdzie jesteś, ukochana? – szeptał zrozpaczony Lin.

Dziewczyna zniknęła tamtej nocy w odmętach spienionych wód. Lin stał się małomówny i cichy. Nie odpowiadał na pytania zatroskanej królowej matki o to, co smuci go tak bardzo. Marzył, by choć raz jeszcze ujrzeć błękitne oczy pięknej Lubli i wziąć ją za rękę.

– Jak strasznie musi być w wodnej głębinie! Dookoła same ciemności, samotność... Czy dla Lubli jest jeszcze jakiś ratunek? – zastanawiał się książę.

Nazajutrz król wezwał Lina do swej komnaty.

– Synu – rzekł poważnym tonem. – Martwię się bardzo o ciebie. Chciałem zająć twoje myśli, byś choć na chwilę mógł odpocząć od zmartwień, które trapią twą głowę. Przedstawiam ci nową służbę. – Skinął na lokaja i ten wprowadził do komnaty pięcioro nowych mieszkańców zamku. – Będą służyć ci radą i pomocą. Zaopiekuj się nimi, wprowadzając powoli w obowiązki, które przyjdzie im wypełniać co dnia – poprosił król.

Służba ukłoniła się, gdy książę zbliżył się, by każdemu ucisnąć dłoń. Jego uwagę zwróciła młoda pokojowa.

– Czy my się nie znamy, pani? – zapytał książę, gdy dziewczyna pokłoniła

się w geście szacunku. „Te piękne oczy...” – pomyślał. – Lubla! – wykrzyknął po chwili zdumiony. – Jak to się stało? Szukałem cię miesiącami!

Wyszli na taras zamkowy.

– Miłościwy panie, twa dobroć zdjęta ze mnie klątwę rzuconą przed wieloma laty przez mieszkającą w pobliskich lasach wiedźmę. Zazdrosna o moją urodę, uwięziła mnie w ciele syreny. I tylko ten rybak, którego trzy życzenia pomogłyby bliskim mu ludziom, mógł odczarować zły urok. Nikt, kto spotykał mnie przez lata, nie pragnął dobroci dla innych. Rybacy spełniali tylko swoje marzenia. Góry złota, piękne łodzie, władza i siła – o to prosili najczęściej. Ty jeden zapragnąłeś szczęścia dla swojej rodziny i poddanych. Dzięki tobie na powrót stałem się człowiekiem...

Księżę nie wierzył w swoje szczęście. Porwał w ramiona piękną Lublę, wyznając, jak bardzo ją kocha. Jeszcze tego samego dnia opowiedział zdumionym rodzicom o zdarzeniu nad rzeką.

– To Lubla będzie przyszlą królową. Miłuję ją nad życie – oznajmił królowi i zgromadzonym na dziedzińcu poddanym.

Wkrótce na zamku odbyło się huczne weselisko. Księżęta i damy dworu z okolicznych królestw przybyli do Grodziska, by wspólnie z księciem Linem i jego rodzicami radować się i ucztować. Korytarze Grodziska wypełniał śmiech, muzyka i tańce, a księżę Lin jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy. Radość zapanowała w królewskim rodzie.

– Wiwat, miłościwy księżę! Wiwat, nasza nowa królowa! – niosły się po korytarzach pałacu wesole okrzyki biesiadników weselnych. Rozbrzmiały dzwony na zamkowym wzgórzu, na znak wielkiego wydarzenia.

Po niedługim czasie małżonkowie doczekali się gromadki dzieci. Okolica znów rozbrzmiała śpiewem, poddani dzielili się radosną nowiną w barwnym korowodzie.

Księżę Lin i księżna Lubla powiększyli zamkowe terytoria. Wraz z rozwojem Grodziska Lin postanowił upamiętnić miejsce, w którym spotkał swoją ukochaną. Nowo włączone do Grodziska ziemie nazwał Lublinem – łącząc imię swoje

i swej wybranki serca. Nad rzeką, w której tafli po raz pierwszy ujrzął Lublę, wybudował młyn. Pracowali tam najznamienitsi młynarze, mieląc ziarna na mąkę, z której powstawał słynny na całą okolicę chleb z wypiekany herbem królewskim – kozłem wspartym o winorośl. To symbol urodzaju ziemskiego. Tak, by według królewskiego życzenia, wypowiedzianego cicho nad rzeką pamiętnego wieczoru, chleba nigdy mieszkańcom nie brakło. Poddani Lina nie zaznali nigdy głodu, okolica obfitowała w urodzajną ziemię, a uprawy zbierane z lubelskich pól cieszyły się uznaniem ziemian z okolicznych miasteczek.

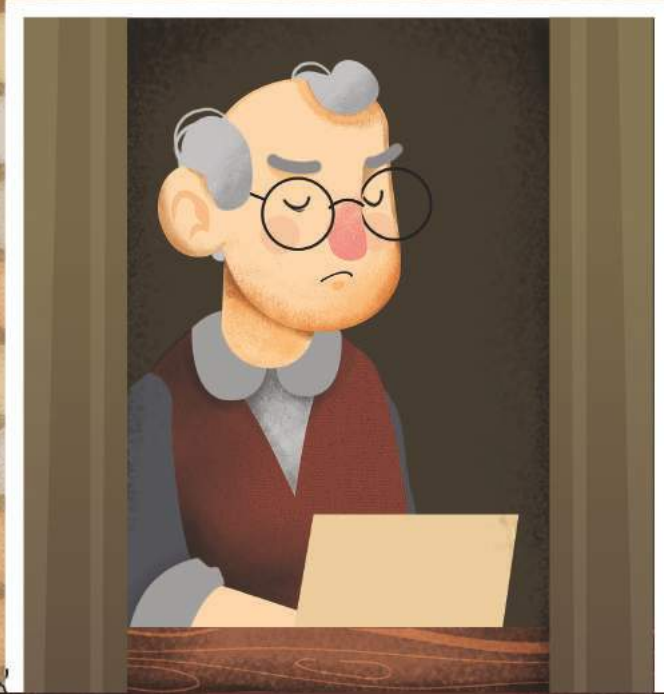
Tak oto swój początek miał dzisiejszy Lublin. Miasteczko rozkwitło pod rządami Lubli i Lina. Kwitł handel, a osadnicy z pobliskich grodów decydowali się budować swoje domostwa na nowo pozyskanych ziemiach, tłumnie przybywając do miasta. Ulice wypełniał gwar poddanych, którzy gromadnie zjawiali się na organizowane tu targi kupieckie i rzemieślnicze. Królowa Lubla uwielbiała haftowanie, jej ręcznie tkane płótna stanowiły ozdobę zamkowych komnat i wzbudzały podziw królewskich gości.

Lublin został rozstawiony w świecie. Lin i Lubla cieszyli się dobrym zdrowiem, sprawując opiekę nad grodem przez długie lata. Najstarsi poddani z łezką w oku wspominali króla, który będąc już w podeszłym wieku, nigdy nie odmówił wsparcia nikomu, kto przybył do wrót zamku z prośbą o pomoc. Tradycję tę kontynuowali królewscy potomkowie, nie odwracając się nigdy od uboższych i tych, którym los nie sprzyjał. Każde radosne i smutne wydarzenie w królewskiej rodzinie, poczynsz od ślubu pary królewskiej aż do narodzin dzieci i królewskiego pogrzebu, wyprawionego wiele, wiele lat później, sygnalizował dzwon na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na Stare Miasto.

Przez wieki Lublin rozkwitał. Po dziś dzień na wzgórzu Czwartek rozbrzmiewa dzwonnica, a jej dźwięk podobny jest do tej, która przed wiekami radowała serca poddanych królowej Lubli.

Jaki byłby herb Twojej rodziny?

(napisz lub narysuj)



ul. Lubartowska 23



Mistrz zegarów

Księgowy Mojżesz Cygelman, miłośnik liczb, znany ze swojej dokładności, rozpoczął kolejny dzień pracy w kamienicy przy ulicy Lubartowskiej 23. Uwielbiał zapisywać szeregi liczb w skórzanych, grubo oprawionych notesach, które układał starannie w starej, skrzypiącej szafie, stojącej w jego gabinecie. Nie nudziła go ta praca wcale, uwielbiał liczyć i przeliczać wszystko, co tylko zliczyć się dało. Książki na półkach, banknoty ukryte w sejfie, łyżeczki do herbaty, którą pijał wieczorami. Także stragany kupieckie oraz stopnie schodków, które przemierzał co dnia, wspinając się na pierwsze piętro budynku. „Jeden, dwa, trzy, cztery...” – odliczał w myślach, maszerując powolnym krokiem w górę. Sąsiedzi poznawali już charakterystyczny chód księgowego, pozdrawiali go skinieniem głowy, on jednak z reguły nie odpowiadał. Niespecjalnie lubił sąsiadów z kamienicy, ponieważ ci uważali go za lekkiego dziwaka.

– Pan Cygelman kocha jedynie cyfry. Nie potrafi rozmawiać z ludźmi. To samotnik – opowiadali sobie nawzajem, minąwszy go na schodach. Księgowy znał się świetnie na swojej pracy, dlatego często przyjmował do swojego biura uczniów, którym starał się przekazać tajniki matematycznej wiedzy. Tłumaczył im cierpliwie, że liczby to gwarancja porządku.

– Wyznaczają początek istnienia – mówił księgowy.

Cenił porządek ponad wszystkie inne wartości. Na półkach w biurze Cygelmana nie ostał się żaden kurzowy pyłek. Wszystko lśniło na błysk. Pani Rozencwajgowa, sprzątaczką, która bywała w kamienicy co drugi dzień, w zasadzie nie miała zbyt wiele pracy w biurze pana Cygelmana. Tak pilnował czystości, że nie musiała martwić się o to, czy zdąży posprzątać wszystko na czas. Z zazdrością patrzyli na niego znajomi kupcy, bo tak ułożonych ksiąg i dokumentów nie miał w wysokich komodach nikt z okolicznych rzemieślników. Księgowy cieszył się szacunkiem także u swych praktykantów, choć nieraz mówili, że pan Cygelman ma trudny charakter. Wydawało się, że kochał jedynie grube tomy liczb i poźółkle księgi.

– Ludziom nie można zaufać. Tylko liczby nie kłamią – mówił.

Lubił pracować w absolutnej ciszy, co nie zawsze było możliwe, gdyż klienci sklepu obuwniczego, zakładu fryzjerskiego oraz zegarmistrza, które miały swoje siedziby w tym samym budynku, przybywali tu co dzień w dużych ilościach. Często gośćmi byli też kupcy, którzy oferowali mieszkańcom okolicy swoje wyroby. Ręcznie wyrabianą biżuterię, pięknie haftowane dywany, metale szlachetne, wyroby złotnicze – to wszystko można było zakupić, niemal nie wychodząc poza okolicę ulicy Lubartowskiej. Ciężko było także pracować przy otwartym oknie, bo gwar dochodzący z jednej z najbardziej głośniejszych, handlowych ulic miasta powodował zawroty głowy. Pan Cygelman nie przepadał za tłumem. Wolał zacisze swojego gabinetu, dlatego też często zamykał okna.

– Nie mogę pomylić się w liczeniu. Hałas zakłóca mój spokój – mówił sam do siebie.

Sz szczególnie trudno było księgowemu porozumieć się z pracującym piętro niżej zegarmistrzem, panem Rotfeldem. Był on zupełnym przeciwieństwem księgowego. Dowcipny, serdeczny, o mocnym uścisku potężnych dłoni, wprawionych w precyzyjnej pracy, którą było naprawianie delikatnych elementów zegara.

– Dzień dobry, panie Cygelman! – Rotfeld pozdrowił sąsiada tubalnym głosem. – Jak tam pana długie listy cyfr?

– Dziękuję, na pewno lepiej niż pana głośnie narzędzia do rozkręcania zegarów, których męczące tykanie nie pozwala mi się skupić na pracy! – odpowiadał księgowy nieuprzejmie.

Rotfeld jedynie uśmiechał się pod nosem.

– Ach, ci księgowi! Zakochani w liczbach, świata poza nimi nie widzą, a świat jest tak piękny dookoła! – zachwycił się uradowany.

Gdy weszło się do mieszkania Rotfelda, można było poczuć się jak w magicznej krainie! Na ścianach znajdowały się zegary, które mistrz kolekcjonował. Małe, duże, średniej wielkości, pochodzące z różnych epok i miast. Zarówno te na łańcuszkach, mieszczące się w dłoni, jak i okazałe zegary

rodem z dworców kolejowych, zawieszono na haczykach wbitych w gładką ścianę. Setki zegarów, tykających rytmicznie. Goście pana Rotfelda podziwiali jego bogatą kolekcję. Co dzień do południa Rotfeld otwierał swój niewielki warsztat, wprawiając w ruch gwoździe, śrubokręty, pęsety i inne, niewielkie narzędzia, pomocne przy naprawach. Stukał, pukał, uważnie badał każdy przypadek popsutego zegara. Był bardzo cierpliwy, jak lekarz, który pochyla się nad pacjentem. Klienci zegarmistrza chwalili jego usługi, mówili, że naprawi każdą usterkę i że jest przy tym życzliwy i zawsze uśmiechnięty. Rotfeld nie bardzo rozumiał, co tak denerwuje księgowego. Wydawało mu się, że pracował cicho. A że czasem uruchamiał wierzące narzędzia...? Tego wymagała przecież jego praca.

– Księgowy jak zwykle przesadza – mówił Rotfeld.

Gdy zegary wybijały godzinę pierwszą, Rotfeld wychodził z pracowni, przekręcał wielki klucz w starych, skrzypiących drzwiach i udawał się do małej kawiarenki pani Rosy, mieszczącej się naprzeciwko kamienicy. Gawędzili sobie we dwoje przy kawalku szarlotki i filiżance wyśmienitej herbaty, którą pani Rosa kupowała u okolicznych handlarzy. Witryna kawiarni znajdowała się tuż naprzeciw okna księgowego Cygelmana, który często przypatrywał się, jak sąsiad spędza godzinę po południu.

– Jak można tak tracić cenny czas! – mamrotał Cygelman pod nosem. – Rotfeld powinien pracować, a ten bawi się przy kawiarnianym stoliku!

Wydawało się, że pan Cygelman nie potrzebował zupełnie towarzystwa innych ludzi. Szczęście przeliczał na cyfry. Zegarmistrz Rotfeld nieraz, w drodze powrotnej z kawiarni do kamienicy, pukał do drzwi księgowego, niosąc mu mały pakunek ciasta. Puk, puk... Rozlegało się głośne pukanie do drzwi.

– Panie Cygelman! To ja, Rotfeld, mam coś dla pana! – wołał rozbawiony zegarmistrz.

Cygelman uchylał ciężkie drzwi do mieszkania i spoglądał zza łańcuszka, którym spięty był zamek, dla bezpieczeństwa.

– Czego pan znowu chce? – burczał niezadowolony, że ktoś przerywa mu





pracę w ciągu dnia. – I co pana tak bawi? Ludzie ciężko pracują na chleb, a pan włóczy się po modnych lokalach w środku dnia!

– Panie Cygelman, chwila odpoczynku jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Proszę, to dla pana. Powinien pan coś zjeść. Pani Rosa piecze wyśmienite smakołyki – starał się uprzejmie zacząć rozmowę Rotfeld. „Może wtedy trochę się pan uspokoi” – pomyślał w duchu i uśmiechnął się lekko, rozbawiony swoim własnym, niemy komentarzem.

Cygelmanowi nie udzielił się optymistyczny nastrój sąsiada.

– Dziękuję, nie trzeba! Proszę już iść! Nie mam czasu!

– Jak pan chce... – odpowiedział Rotfeld, oczyma wyobraźni zajadając się smakowitym kąskiem ciastka, które przeznaczone było dla sąsiada.

Wracał na górę, pozdrawiając napotkanego po drodze doktora Zuckermana.

– Jak zdrowie, sąsiedzie? – zapytał doktor. – Pamięta pan, aby się oszczędzać? W pana wieku długotrwała praca siedząca może trochę zaszkodzić. – Doktor wyraźnie troszczył się o Rotfelda.

– Dziękuję, doktorze, jestem trochę zmęczony ostatnio. Ale śpię dobrze, uspokaja mnie tykanie tych cudów zawieszonych na ścianie.

Kontynuowali rozmowę jeszcze przez chwilę, aż z hukiem otworzyły się drzwi mieszkania księgowego Cygelmana.

– Panowie, nie pozwalacie mi pracować! – krzyczał, aż głos niósł się po całym piętrze. – Proszę, żeby nie urządzać pogaduszek na środku korytarza. To mnie rozprasza!

Rotfeld i Zuckerman popatrzyli zdumieni na zagniewanego księgowego, po czym bez słowa podali sobie dłonie w geście pożegnania i każdy poszedł w swoją stronę. „Co za gbur...” – pomyśleli obydwaj.

Nadszedł wieczór. Rotfeld zamykał już zakład, kiedy poczuł ucisk w klatce piersiowej. „To zmęczenie. Muszę zwolnić tempo” – pomyślał. Przekręcił skrzypiący klucz w zamku.

– Dobranoc, sąsiedzie – powiedział, odwracając się w stronę Cygelmana, który w tym samym czasie kończył pracowity dzień.

– Dobra jak dla kogo! Mam nadzieję, że jutro da mi pan pracować w spokoju. Przez dzisiejsze przerwy nie zdążyłem wszystkiego policzyć i stracę część nocy. Zadania muszą zostać poprawnie wykonane. W świecie cyfr nie ma miejsca na niechlujność – odburknął niezadowolony księgowy.

Rotfeld nie odpowiedział. Spiesznie udał się do swojego mieszkania. Nazajutrz Cygelman pojawił się w bramie kamienicy bladym świtem. Od razu zamknął się w gabinecie, rozkładając książki.

– Czas to pieniądź – mruknął sam do siebie.

Pochłonięty zadaniami, które wyznaczył sobie na dzisiejszy dzień, nie zauważył, jak szybko minął czas do południa. Wybiła godzina pierwsza. Cygelman odruchowo spojrzał na wprost przez wysokie okno kamienicy. „Mój sąsiad, lekkoduch zegarmistrz, powinien właśnie zajadać się kolejną porcją ciasta. Swoją drogą, przydałoby mu się lekka dieta” – pomyślał, żartując złośliwie. Rozglądał się po witrynie kawiarni, jednak stolik, który zwykle zajmował Rotfeld, był pusty. Pani Rosa kręciła się przy kawiarnianej ladzie. Zaniepokoiła go trochę nieobecność sąsiada. Przecież co dzień, o tej samej porze, widywał zegarmistrza przez okno, gdy tamten rozkoszował się rozmową z panią Rosą.

– Dziwne... – szepnął Cygelman.

Nagle uświadomił sobie, że od rana nie słyszał narzędzi Rotfelda, które ten włączał zawsze, ilekroć rozpoczynał pracę nad naprawą kolejnego zegara. Niespokojne myśli przelatowały mu przez głowę. Wyszedł na chwilę na piętro. Ani śladu sąsiada.

– Panie Rotfeld! Panie Rotfeld! – zawołał Cygelman donośnie.

Odpowiedziała mu cisza. Pełen niespokojnych przeczuć zbiegł na dół, kierując się do mieszkania sąsiada. Zapukał głośno, wołając Rotfelda, po czym nacisnął klamkę mieszkania. Drzwi były otwarte! „Rotfeld zawsze zamyka zakład, w obawie, by nikt niepowołany nie wszedł do środka, zwabiony licznymi precjozami zegarowymi” – Cygelman poważnie się przeraził. Ostrożnie wszedł do gabinetu sąsiada, po czym widok, który tam zastał, zmroził mu krew w żyłach. Rotfeld leżał na dywanie blady, niemal martwy, trzymając w zaciśniętej dłoni zegar klienta.

– Rotfeld! Rotfeld! – krzyknął Cygelman, potrząsając sąsiada za ramię. „Czyżby on...?” – zimny pot oblał plecy opanowanego zazwyczaj księgowego.

Wybiegł na korytarz, wzywając pomocy. Wołanie usłyszał naraz doktor Zuckerman i przybiegł na ratunek. We dwóch uratowali Rotfelda, którego serce na chwilę przestało bić. Doktor zabrał go do szpitala. Udało się pomóc Rotfeldowi, za kilka chwil obudził się. Cygelman odwiedzał go w szpitalu.

– Gdyby nie pan... – powiedział Rotfeld w trakcie jednej z wizyt. – Pana niezapowiedziana wizyta uratowała mi życie.

– To przez pana zegary. Było za cicho...

Uśmiechnęli się obydwoj, ściskając w pojednawczym geście swoje dłonie. Od tamtej pory jakby złagodniał dziwak księgowy. Częściej odwiedzał Rotfelda. Dał się nawet przekonać na wizytę w kawiarni pani Rosy. A w swoim gabinecie nakazał Rotfeldowi zawiesić ogromny zegar.

– Tykanie zegara mnie uspokaja – stwierdził Cygelman. – Czy zechce pan wpaść może na konfiturę domowej roboty? Dostałem od pani Rosy.

Rotfeld zaśmiał się serdecznie. Zegary łagodzą obyczaje...

A Ty? Jaki najładniejszy zegar widziałeś?

(napisz lub narysuj)



O kapryśnej hrabiance

Przed wieloma laty, gdy karty kalendarza i grube kroniki historyczne wskazywały na wiek XIX, w pięknym mieście Lublinie mieszkała pewna hrabianka. Pochodziła z bardzo zamożnego rodu Lublinów, którzy wspierali przez wiele lat rozwój miasta, dlatego nazywano ją hrabianką Lublinianką. Dzięki staraniom rodziców hrabianki z roku na rok miasto zmieniało się i piękniało. Odremontowano i wybrukowano najważniejszą ulicę Lublina – Krakowskie Przedmieście, którą w słoneczne popołudnia mama hrabianki, pani Lublinowa, przechadzała się chętnie wraz ze służbą. Ojciec hrabianki, hrabia Lublinow, zwykł przesiadywać w mieszczącym się na końcu ulicy Miejskim Ogrodzie, pełnym najróżniejszych gatunków kwiatów i ptaków najbarwniejszej urody. Hrabia i hrabina Lublinowie cieszyli się nienaganną opinią wśród mieszkańców. Zawsze chętni do pomocy, pochylali się nad każdym, kto do ich pałacyku przybywał z kłopotem. Szczególnie wspierali okolicznych kupców. Ulubionym miejscem hrabiego była cukiernia pana Kaspra Semadeniego. Wpadał tam często na rurki z kremem.

– Dzień dobry, hrabio! – witał go zawsze od progu uśmiechnięty pan Semadeni. Przygotowałem coś specjalnego dla pana i młodzietki hrabianki! – mówił, wręczając hrabiemu pakunek z ulubionym przysmakiem.

– Dziękuję, panie Kasprze! Z chęcią będziemy rozkoszować się pysznym deserem, gdy tylko służba skończy przygotowanie obiadu.

Tuż po wizycie w cukierni hrabia kierował się w stronę najpopularniejszego w mieście sklepu kolonialnego z galanterią, prowadzonego przez pana Jana Mincla.

– Szanowny hrabio, nowe sukna i tkaniny dostarczono właśnie do sklepu. Czy zechciałby hrabia rzucić okiem na dostawę? Mam też przyprawę korzenne, w sam raz do kuchni hrabiego! – Mincel zachwalał towary.

Hrabia podchodził do sklepowej lady, cierpliwie przebierał wśród towarowych dóbr, ucinając sobie niejednokrotnie niezobowiązującą pogawędkę ze sklepowym i jego subiektem. Czas mijał spokojnie, w atmosferze życzliwości.

Hrabiostwo – ludzie cierpliwi i usłużni, pozostawali zawsze skromni, mimo posiadanych bogactw i ogromnych dóbr. Niestety, ich wielkim zmartwieniem była jedyna córka, hrabianka Lublinianka. Dziewczynka miała bardzo trudny charakter. Kapryśna, krnąbrna, nie szanowała służby ani mieszkańców hrabiowskiego dworu, pogrążając matkę i ojca w ogromnym smutku.

– To ja jestem tu najważniejsza! Natychmiast chcę dostać tę zabawkę! – grzmiąca najczęściej hrabianka.

Nie pomagały tłumaczenia ojca i matki, nie pomagały cierpliwe i wyrozumiałe opiekunki. Młoda hrabianka dąsała się często, sprawiając przykrość wszystkim wokół. Martwił się ojciec, co będzie, gdy ich kiedyś zabraknie.

– Córko – mawiał często – nie możesz tak traktować bliskich ci ludzi.

Na nic zdawały się rady matczyne. Dorastająca hrabianka była coraz bardziej zacięta i uparta. Nie szanowała służby, krzyczała bez powodu na pomocnicę z hrabiowskiego dworu, z pogardą odnosiła się do wspieranych przez ojca kupców i rzemieślników.

– Gardzę mieszczanami! – przyznawała otwarcie hrabianka. – W moich żyłach płynie błękitna krew, nie będę bratać się z pospólstwem!

Wiele łez wylali matka i ojciec. Na próżno. I nadszedł dzień, którego wszyscy się obawiali – odeszli do wieczności sędziwi hrabia i hrabina, pozostawiając pałacowe dobra pod władzą krnąbrnej córki. Ciężkie czasy nastały dla mieszkańców hrabiowskiego dworu. Wesoła dotąd służba przemykała cicho korytarzami pałacu, by tylko nie spotkać się z hrabianką, która nigdy się nie uśmiechała. Od śmierci hrabiostwa życie w dworze jakby zamarło. Kwiaty przestały kwitnąć, ludzie posmutnieli, dookoła zrobiło się szaro, a ciszę korytarzy dworu przerywał co jakiś czas podniesiony głos hrabianki.

– Gdzie są moje suknie? Dlaczego nie zostały jeszcze wyprasowane? A tort? Prosiłam o przyniesienie tortu z cukierni! Co to za służba, która mnie wcale nie

ślucha! – krzyczała wściekła hrabianka na Bogu ducha winną pokojową, która nie nadążała ze spełnianiem zachcianek złośliwej pani.

– Gdyby żyli hrabia i hrabina, takie rzeczy nie miałyby nigdy miejsca. Nie pozwoliłiby hrabiance na takie zachowanie – szeptała służba po kątach, w obawie, by ich rozmów nie usłyszała rozzłoszczona panienka.

– Hrabianka nikogo nie szanuje, z nikim się nie liczy. Ach, gdyby tylko żył hrabia... – przyznawała ze smutkiem służba, zwieszając głowę w geście rozpaczony.

Razu pewnego do bram dworu zapukał pewien ubogo odziany, zgarbiony człowiek, dźwigający duży pakunek. Lokaj hrabiny otworzył drzwi.

– Panie, jestem przydrożnym handlarzem ptaków. Los mnie nie oszczędzał, w klatce, którą dźwigam ze sobą, jest mój najcenniejszy ptak – puchacz śnieżny. Czy mogę chwilę spocząć w progach tego domostwa, nim udam się w dalszą wędrówkę? Proszę tylko o szklankę wody i okruszek chleba dla mnie i mej sowy.

Lokaj już zapraszał serdecznym gestem zmęczonego wędrowca w progi dworskiej kuchni, gdy naraz zbiegła ze swej komnaty rozzłoszczona hrabianka.

– Co tu się wyprawia? Kim jesteś, nędzarzu? Wynoś się z mego dworu! – naraz zaczęła przepędzać starca hrabianka.

– Pani, okaż litość, pragnę tylko okruschu chleba dla mojego puchacza, zmęczonego długą podróżą – zdołał wyszeptać staruszek.

– Puchacz? – zaciekała się hrabianka, spoglądając na okrytą burą tkaniną klatkę. – Puchacz zostaje! Będzie piękną ozdobą mojej komnaty. Przepędzić starucha, ale już! – krzyknęła okrutna hrabianka do służby, wyrwijąc klatkę z ptakiem ze ściśniętych dłoni handlarza.

Wnet zerwał się donośny wiatr, niebo pociemniało, wszystko wokół jakby zamarło, a twarz staruszka przybrała wyraz diabelski.

– Nie wiesz, co czynisz, nierozważna kobieto! Jeszcze dziś o północy życie twoje zmieni się nieodwracalnie, a ty pożałujesz swego występku! – krzyknął w stronę hrabianki, rechocząc przeraźliwie.



Strach obleciał służbę, zbladła i hrabianka. Zerwała się naraz potężna burza, pioruny trzaskały na ciemnym niebie, a starzec zniknął w leśnej gęstwinie, okalającej dwór hrabianki.

– Stary dziwak! – krzyknęła hrabianka, uciekając do wnętrza dworu przed szalejącą nawałnicą. Zabrała też klatkę z sową, stawiając ją na złotym stole, pośrodku swojej komnaty. – Będziesz ozdobą mojego pałacu. Nie waż się hałasować! Od hałasu tylko boli mnie głowa! – powiedziała w stronę puchacza, który patrzył na nią wielkimi oczami, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. – Czuję się bardzo zmęczona. Zdrzemnę się chwilę.

Hrabianka opadła na pałacowe łóże, zasnąwszy snem kamiennym. Burza nie ustawała, bijące po niebie pioruny rozświetlały ciemności nocy. Wtem ciszę nocną przerwał donośny głos, dobywający się jakby z korytarza:

– Hrabianko... Hrabianko Lublinianko...

Zerwała się hrabianka na równe nogi w środku nocy, przerażona. Zegar wybijał północ.

– Kto tu jest? Kto ośmiela się przerywać mój sen?

– Hrabianko... Już czas... – tajemniczy głos zbliżał się w stronę bladej ze strachu hrabianki.

Dziewczyna wybiegła z łóżka z krzykiem, starając się odnaleźć źródło tajemniczych odgłosów. Spojrzała na klatkę puchacza. Była pusta! Drzwiczki zostały otwarte, a sowy ani śladu. Wnet piorun uderzył w dach dworu, rozbłysło dookoła jasne światło, a przez otwarte okno wleciał śnieżnobiały puchacz.

– Hrabianko... – odezwała się sowa głosem starego handlarza ptaków – odpokutujesz teraz swoje grzechy. Gdy noc minie, zmienisz się w ubogą staruszkę. Masz czas do północy następnego dnia, by naprawić krzywdy, które wyrządziłaś swym zachowaniem. Jeśli nie pomożesz ludziom, których tak krzywdziłaś co dzień, marny twój los. Zostaniesz w ciele staruszki na zawsze, skazana na nędzę, biedę i głód. Odwiedzę cię ponownie, gdy zegar wybije północ...

Sowa zniknęła w ciemnościach nocy. Hrabianka zaczęła krzyczeć, jednak zagłuszały ją odgłosy szalejącej burzy. Upadła na ziemię bezwładnie. Mijały godziny...

Naraz zdało się słyszeć pukanie w drzwi komnaty. To zapewne służba przyniosła śniadanie. Hrabianka próbowała poderwać się w podskokach, głodna po wrażeniach ubiegłej nocy, jednak nie mogła się ruszyć. Gdy spojrzała w lustro, zamarła z przerażenia. Oto patrzyła na nią zgarbiona staruszka, nędznie odziana, z rękami przybrudzonymi węglem.

„Nie! To nie może być prawda!” – pomyślała dziewczyna.

Lokaj hrabianki, zaniepokojony ciszą dobiegającą zza drzwi, wszedł do komnaty. Zaskoczył go widok staruszki w miejscu, w którym zawsze przebywała jego pani.

– Kim jesteś, dobra kobieto? – zapytał z troską. – Czy nie widziałaś hrabianki? Gdzie może podziewać się pani o tak wczesnej porze?

– Ja... Ja... – jęknęła z rozpaczą hrabianka, pamiętając, co powiedziała nocą demoniczna sowa. – Jestem nową służącą, którą zatrudniła hrabianka. Pani wybrała się na wycieczkę bladym świtem. Chciała odpocząć po trudach poprzedniego dnia i pobyć trochę sama.

Zdziwiony nieco postawą swej pani lokaj zaproponował staruszce szklanekę herbaty, prowadząc ją na dół.

– Tu pracujemy co dnia – powiedział, przedstawiając ją służbie. – Pomożesz nam w kuchni. Gdy nie ma hrabianki, pracować nam się będzie dużo spokojniej i szybciej.

Lokaj opowiedział jej o tym, jak źle hrabianka traktuje swą służbę. O łzach, które pokojowe wylewają cichutko, gdy nikt nie widzi. O smutku służących, obrażanych z byle powodu. Słuchała tego hrabianka-staruszka, smucąc się bardzo, jak wielką przykrość wyrządziła bliskim ludziom przez swoje złośliwe zachowanie. Cały dzień pracowała w pocie czoła w kuchni, obierając ziemniaki, sprzątając stajnię i nosząc węgiel w koszach, by zapewnić ciepło w całym dworze.

– Więc tak ciężko pracuje się tu na co dzień – wzdychała sama do siebie.

W południe główny lokaj wysłał ją do cukierni.

– Nasza pani uwielbia kremowe ciastka Semadeniego. Przynieś proszę dwa opakowania.

Hrabianka zaklęta w ciele staruszki udała się do cukierni.





*Cukiernia
Kasper Semadeni*

– Witaj, dobra kobieto – przywitał ją właściciel.
– Już podaję ciastka dla naszej umiłowanej hrabianki.
Mam też prezent. Kremowe rurki. Jej ojciec, hrabia,
uwielbiał ten przysmak. Proszę ją pozdrowić serdecznie.

Hrabianka nie mogła uwierzyć, jak ciepło
wypowiadają się o niej ludzie, dla których była na co
dzień tak okrutna.

– Czy mogę panu jakoś pomóc w cukierni? –
zapytała. – Potrzebuję trochę grosza...

Semadeni ochoczo przystał na propozycję starszej
kobiety, prosząc ją o pozamiatanie placu wokół cukierni.

– Jak bardzo byłam okrutna... – powtarzała sama do
siebie, płacząc żałośnie.

Po skończonej pracy wróciła do dworu.

– Przyniosłam słodkie podarki dla pani. I kilka dodatkowych groszy, by podzielić
się z wami, nie zarabiacie tu dużo... – staruszka-hrabianka rozdała służbie
wszystko, co zarobiła, sprzątając cukiernię.

Uradowali się mieszkańcy dworu hrabianki.

– Tak, pani nie płaci nam dużo. Ciężko nam, dużo ciężej niż za czasów, kiedy
żył hrabia Lublinow. Ale i tak szanujemy hrabiankę. To dobra, ale zagubiona
pani. Daje nam schronienie, karmi nas i dba o nas. Musi jej być ciężko samej, bez
nikogo bliskiego...

Staruszka odwróciła się, ocierając tzę.

„Byłam dla nich tak podła, a mówią o mnie z taką troską” – pomyślała.

Służba nakazała już spocząć staruszce, prowadząc ją do skromnego pokoiku
obok piwnicy.

– Tu nocują pokojowe. Proszę już odpocząć po ciężkim dniu. Naszej hrabianki
dalej nie widać, ściemnia się już. Wyślę lokaja, by udał się na poszukiwania.

Staruszka zasnęła niemal natychmiast, wzruszona, jakim szacunkiem darzy ją
służba, mimo podłego zachowania hrabianki.

Gdy zegar wybił północ, zerwał się wiatr we dworze, okiennice roztwały się na oścież, pioruny znów rozbłyły na atlasowym niebie. Staruszka zbudziła się przestraszona. Tuż nad uchem usłyszała trzepot sowych skrzydeł.

– Spełniłaś zadanie – odezwała się tajemnicza sowa. – Nad ranem powrócisz do swej postaci. I pamiętaj, by nigdy więcej nie krzywdzić tych, którym na sercu leży twe dobro...

Staruszka zaczęła płakać. Jej głośny szloch niósł się po dworskich pokojach głuchym echem.

– O ja nieszczęсна... – powtarzała. – Jak mogłam być tak okrutna...

Hrabianka ocknęła się nad ranem i ze strachem spojrzała w lustro. Postać staruszki zniknęła... Dziewczyna po cichu wróciła do swej komnaty i otworzyła na oścież okna. Promienie słoneczne wpadły do środka. Potem zbiegła na dół, radośnie witając zastygłą z wrażenia służbę.

– Dzień dobry, mieszkańcy hrabiowskiego dworu. Jaki piękny dzień się zapowiada! Może z tej okazji dam wam chwilę wolnego, byście mogli spędzić go z rodziną? Już, już, zbierajcie się. Ja dzisiaj rządę dworem! – wykrzyknęła radośnie hrabianka.

Oślupiali z wrażenia mieszkańcy pałacu. Nie poznawali swojej pani! Kto odmienił posępną dotychczas władczynię? Wieść o nagłej zmianie w zachowaniu hrabianki rozniosła się szybko po całym mieście. Ludzie przecierali oczy ze zdumienia, widząc ją w Miejskim Ogrodzie, radośnie bawiącą się z dziećmi z okolicy, czy też spotykając ją, jak wraz z lokajem pomagała nosić paczki kupcom zatrudnionym u Jana Mincla i w cukierni Semadeniego.

Radość zapanowała ponownie w pałacu. Charytatywna działalność hrabianki została zapamiętana na lata, ona sama zaś dożyła sędziwego wieku w otoczeniu służby i ludzi jej bliskich, chwalona za troskę, którą obdarzała wszystkich potrzebujących. Wieść niesie, że w centrum miasta pomogła ufundować schronisko dla najbiedniejszych, nazwane potem jej imieniem. Po dziś dzień w tym miejscu znajduje się jeden z najświetniejszych hoteli.



Myszaci z wodnego młyna

Na niewielkim pagórku we wsi Tatary stał drewniany młyn wodno-parowy. Prężnie rozwijający się i zarządzany przez pana Kraussego. Ludzie powiadali, że w okolicy nie ma tak dobrego zarządcy, jak pan Krausse. Cierpliwy, zorganizowany, dbał o pracowników, którzy w młynie pracowali na okrągło przez całą dobę. Chłopi, którzy dostarczali tu zboże, chwalili pracę pana Kraussego.

– Dopilnuje wszystkiego, jak trzeba. Nie waha się pomagać nosić worki ze zbożem. Nikt nie dba o pracowników tak, jak on – zwykli mawiać ci, którzy zdecydowali się sprzedawać tu zebrane w pocie czoła plony.

Młyn był miejscem sławnym na cały kraj. Mąkę kupowali tu kupcy polscy i żydowscy, a wypiekany z niej chleb znikał z półek piekarni niemal natychmiast. Zadowoleni klienci chwalili wypieki z mąki pochodzącej z młyna Kraussego.

– Zapach i smak tego chleba przypomina człowiekowi dzieciństwo, gdy babka, utrudzona pracą w polu, wieczorem wypiekała pieczołowicie chleb w domowym piecu kaflowym – mówili niektórzy.

Pan Krausse uśmiechał się, gładząc długie włosy, ilekroć słyszał komentarze zadowolonych klientów. Wrodzona skromność nie pozwalała mu chlępić się sukcesami młyna, który założył wraz z bratem. Wciąż pamiętał, ile pracy kosztowało go przywrócenie do życia starego, podupadającego młyna, który wiele lat wcześniej zastał na obecnym terenie i zakupił z myślą, by za jakiś czas stworzyć fabrykę uznawaną za wzorzec w innych miastach. Spełnił sen swego ojca, piekarza: po wielu trudach, nieprzespanych nocach, z pomocą ludzi dobrej woli, zgromadzonych dookoła niego, postawił młyn na nogi. Obecnie nikt nie był w stanie konkurować z lubelskimi wyrobami mącznymi, produkowanymi

w tym zacnym przybytku. Pan Krausse zaś pozostał skromnym człowiekiem, który troszczył się o każdego, kto potrzebował pomocnej dłoni. Miał on w młynie grupkę nietypowych mieszkańców...

W cichym, ciemnym kątku jednej ze ścian wysłużonego strychu, w niepozornej, mysiej jamce żyła rodzina Państwa Myszatych: Mama i Tata Mysz, dwaj Bracia: Myszaty i Myszy oraz najmłodsza z rodziny, maleńka myszka Franciszka. Myszaci co dnia przemykali korytarzami młyna do głównego pomieszczenia, w którym rezydował pan Krausse. Czekala tam na nich zawsze porcja ulubionego przysmaku: kawałek żółtego sera i kilka ziaren pszenicy najlepszego typu.

– Każda, nawet najmniejsza istota, może się człowiekowi przysłużyć – mawiał pan Krausse pytany, dlaczego nie pozbędzie się tych szkodników z młyna. Pamiętał, by wystawiać ziarna w kącie, gdzie myszy je mogły bezkarnie podgryzać, nienękanie przez nikogo. Zdobył zaufanie mysiej rodziny, która wiedziała, że tak długo, jak pan Krausse jest w pobliżu, nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Szczególnie nieśmiała i wielce bojaźliwa była najmniejsza myszka – Franciszka. Popiskiwała strachliwie na dźwięk buczonej pszczoły, przebiegała niezdarnie łapkami w szybkim biegu ku bezpiecznej kryjówce, spowodowanym dostrzeżeniem błędzącego po ścianie wieczorową porą, tajemniczego cienia, czy też schodziła niepewnie po schodkach młyna, potykając się co rusz, w trakcie wesołej zabawy znalezionym w przykurzonym kufrze kłębkim włóczki. Nieustannie naśmiewali się z niej łobuzerscy Bracia Myszowie:

– Franciszka, łap! – krzyczał Myszy, podrzucając w górę kawałeczek smakowitego sera i śmiejąc się do rozpuku, kiedy Franciszka krótkimi łapkami próbowała chwycić serek, chwiejąc się przy tym niezgrabnie na boki.

– Franka, za rogiem czai się kocur bury, uciekaj, uciekaj chyżo do dziury! – wtórował bratu wśród salw dzikiego śmiechu psotnik Myszaty, biegnąc z gracją dookoła woreczka z żytem, z którego zwykli beztrosko skakać obydwaj Myszowie, wykonując w locie akrobatyczne figury.

Z podziwem i lekkim zmieszaniem patrzyła na ich radosne pląsy Franciszka, wzdychając cichutko pod nosem:

– Ach, gdybym i ja tak umiała zwinnie podskoczyć, nie bacząc na niebezpieczeństwo, które spoziera z każdego kątką... – szeptała do siebie mysz.

Kochali ją bardzo rodzice, wspierała żarliwie Mama Mysz, zachęcając do walki z okrutnym strachem, który sercem Franciszki z jakiejś przyczyny zawładnął dogłębnie.

– Odwagi, maleńka – szeptała mama czule, gładząc Franciszkę po kosmatym łebku, gdy ta przybiegła zziąjana do norki, oznajmiając, że przy schodach tłusty pająk rozwinął swą sieć i niechybnie czai się na mysią rodzinę, by porwać ich w swe sidła i nigdy już nie zwrócić światu żywych.

Nie rozumieli obaw myszki zuchwali Bracia, prześcigając się wzajemnie w wymyślaniu coraz to nowych psot, których obiektem stała się bojaźliwa siostra. Przykro było czasem maleńkiej myszce, gdy zamiast bawić się wspólnie, pozostawiali ją samą, oznajmiając tryumfalnie, że właśnie przegrała kolejną konkurencję sportową i nie zdołała uszczknąć ani odrobiny smakowitego kęsa z tłusciutkiej porcji niebiańskiego przysmaku – żółtego sera, który wyznaczili za nagrodę. Szlochota cichutko Franciszka w ciemnym kącie norki, tłumacząc, sobie, że niczego po sobie dać znać nie może przed Mamą i Tatą, wszak spokój i cierpliwość to przymioty dzielnej, mądrej myszy, na który to zaszczytny tytuł tak bardzo pragnęła w oczach świata zasłużyć. I mijały tak dni i tygodnie, kiedy to Bracia, co czas jakiś karceni przez Tatę, niewiele zdawali się jednak rozumieć i wniosków nie wyciągali żadnych po odmierzanych solennie przez Mamę karach za swoje nieczne występki.

Aż nadszedł pewien marcowy, ciepły poranek, gdy pierwsze, nieśmiałe promienie wiosennego słońka wdarty się przez przybrudzoną szybę młyna wprost do mysiej jamki. Zapomnieli na chwilę o psotach Bracia Myszowie, wiedzeni potrzebą oddechu świeżym powietrzem i rozkoszowania się choć przez chwilę blaskiem słonecznej, marcowej pogody. Zapomniała o przykrościach Franciszka, biegnąc radośnie za braćmi. Może akurat pobawią się razem choć trochę, puszczać w niepamięć codzienne niesnaski...? Rodzeństwo myszy przebiegło cichutko przez korytarzyk, w kierunku uchylonych mosiężnych drzwi młyna, przez które tak pięknie rozchodził się ciepły promień... Nawet pracownicy, zachwyceni urokiem budzącej się do

życia przyrody, przerwali na chwilę pracę, chcąc choć przez moment wystawić przybrudzone mąką twarze do ciepłego słońca.

Naraz dał się słyszeć okrutny pisk, ogłuszający dźwięk, jakby ktoś na zewnątrz złapany w potrzask desperacko wołał o pomoc. Wybiegli z norki zaniepokojeni Państwo Myszowie, wiedzeni nieomylnym przecuciem, że coś złego przytrafiło się dzieciom. Straszny widok ukazał się ich oczom: tuż za drzwiami młyna przyciła się bura kocur z sąsiedztwa. Rozłożył się leniwie na trawie, w jednej łapie trzymając przerażonego Myszego, który błagał o ratunek, drugą zaś leniwie machał nad głową, dzierżąc między pazurami ogon drugiego z dzieci – Myszatego. Tłuściutka przekąska wpadła w łapy głodnego zwierza i nie zamierzał jej tak łatwo wypuścić...

– Dzieci! Moje dzieci! – pisnęła Mama Mysz, opadając bezwładnie w ramiona Taty, który gorączkowo starał się ją uspokoić, by jej szloch nie wydał obecności obydwójga kotu. Mógł przecież za chwilę ich zauważyć i skonsumować na deser, oblizując się ze smakiem po puciołowatym pyszczku. Rodzina Myszatych widziała już swój straszny koniec...

Usłyszał ten odgłos także pan Krausse i wybiegł szybko z młyna, chcąc sprawdzić, co jest źródłem dziwnego dźwięku. Nim zdążył dobiec do kota, chcąc wyrwać mu z łap myszy, ten odskoczył, miauczając przeraźliwie, łapiąc się za pysk, a przy tym rozkładając szczerze zaciśnięte łapy, z których, oszołomieni, w te pędy uciekli Bracia Myszowie wprost w bezpieczne, rodzicielskie ramiona. Kot miotał się, otumaniony na prawo i lewo, nie mogąc złapać równowagi, zakrywając łapą podrapane oczy.

– Franciszka! – krzyknęli Myszowie. Mamo, Tato, tam jest nasza Franciszka!

Przestraszeni rodzice spojrzeli w górę, na łeb kota, gdzie mignęła ledwie dostrzegalna w oddali biała plamka w gęstwinie kociej sierści. Franciszka – ta maleńka, bojaźliwa mysz, wskoczyła chwilę wcześniej na głowę kocura, niedostrzeżona przezeń. Nie bacząc na ryzyko, widząc, co grozi Braciom, wspięła się po karku kota wprost na łeppek, machnęła pazurkami na prawo i lewo, zasłaniając kotu pole widzenia i drapiąc go niemilosiernie po pysku. Oszołomiony,



wypuścił Myszatych, upadając wprost w gęstwinę zielonej trawy. Zebrał się niepokieszony, mamrocząc pod nosem, że dał się tak nabrać głupiutkiej myszy.

I tak strachliwa mysz uratowała rodzinę Myszatych od okrutnego losu. Cała piątka wpadła sobie w ramiona, tuląc się i skacząc radośnie, a piskom i śmiechom nie było końca.

– Jak to zrobiłaś, Franka? – zapytał po dłuższej chwili spokojny już Myszy. – Widziałaś przecież, jaki ten kocur jest wielki. Mógł pożreć nas wszystkich niechybnie! A tak przerażał cię twój własny cień, pamiętasz?

Franciszka odparła cichutko, rozważnie dobierając słowa:

– Gdy zobaczyłam, jak ciebie i Myszatego chwytają długie szpony kocura, pomyślałam, jak bardzo wy musicie się bać. Mój strach był niczym, kiedy pomyślę, jak mogła zakończyć się ta przygoda...

Od tej pory skończyły się w rodzinie Myszatych psotne zabawy i drwiny z Franciszki. Nie ośmielił się już nigdy żaden z braci dokuczyć dzielnej bohaterce. I z dnia na dzień, jakby lżej było biegać nieustraszonej myszce, łapki składnie łączyły się w szaleńczym tańcu, gdy ścigała się z braćmi długim korytarzem. Powietrze było jakby lżejsze, żółty ser smakował znacznie lepiej, a cienie na ścianie służyły do pysznej zabawy w teatrzyk wieczorny. Widziano ponownie kocura, gdy błąkał się niepewnie w okolicy młyna, lecz słyszcząc dobiegające zza drzwi, radosne popiskiwanie Myszatych, uciekał w popłochu w kierunku drzwi prowadzących do gabinetu pana Kraussego. Tu nic mu się stać nie mogło.

A sława młyna i jego właściciela niosła się po okolicznych wioskach i miastach jeszcze przez długie lata.





HOTEL
ANGIELSKI

Księga Gości

Ksiaz

Hotelowy gość

Wiele, wiele lat temu w pięknym mieście Lublinie mieszkał pan Karol Rotkiel. Był znanym złotnikiem. Jego piękne wyroby, zarówno bransolety, jak i kolczyki, naszyjniki oraz pierścienie, cieszyły się uznaniem w całym kraju. Pan Rotkiel przez wiele lat pobierał nauki wśród włoskich mistrzów złotnictwa na słynnych uczelniach. Następnie powrócił do kraju, chcąc spróbować swoich sił jako rzemieślnik, i stworzył w należącej do jego rodziny kamienicy na Krakowskim Przedmieściu pracownię złotniczą.

– Ma pan smykałkę do złotniczego fachu – mawiały klientki, przybывая tłumnie do jego pracowni. Do jednej z nich, niejakiej Ewy, kobiety cudnej urody, zapalał szczególnym uczuciem.

– Czy zechce pani przymierzyć te piękne kolczyki? Wygląda w nich pani wprost kwitnąco – zagadywał panią Ewę pan Rotkiel, ilekroć zjawiała się w jego pracowni, wiedzona pięknem kruszcu, który znajdował się za sklepową wystawą.

– Ach, panie Karolu – odpowiadała zawstydzona. – To blask pana biżuterii sprawia, że kobiety czują się w niej pięknie.

Pan Karol i pani Ewa zaczęli się spotykać, a kilka miesięcy później stanęli na ślubnym kobiercu. Pani Ewa wyglądała olśniewająco w biżuterii, którą małżonek przygotował dla niej na tę szczególną okazję. Młodzi mieli huczne weselisko, a tańce, śpiew i muzyczne swawole niosły się echem po całym mieście. Nowożeńcy zamieszkali na piętrze kamienicy, w której pan Karol prowadził działalność. Pani Ewa zajmowała się domem, jednak wciąż myślała o tym, jak pomóc mężowi w pracy i nieco odciążyć go w codziennych obowiązkach zawodowych. Wkrótce zmarł wuj pana Karola i Rotkielowie odziedziczyli po nim drugą, jednopiętrową kamienicę. Pomyśleli wówczas, by dwa osobne budynki połączyć w jeden. Prace budowlane

ruszyły pełną parą i po kilku miesiącach pani Ewa zajęła się dekoracją nowo powstałego budynku mieszkalnego. Pan Karol powiększył swoją pracownię. Biznes kwitł.

Razu pewnego pani Ewa rzekła radośnie do swego męża:

– Karolu, pracujesz od bladego świtu. Chciałabym pomóc ci w ciężarze utrzymania naszego domostwa. Pomyślałam, że moglibyśmy otworzyć hotel w drugiej części budynku. Duża, przestronna piwnica, która teraz służy nam za składzik, zamieniona zostanie na kuchnię. Poprowadzimy w naszym hotelu restaurację, której smaki będą chwalić klienci z Lublina i całego kraju.

Pan Karol przystał na pomysł małżonki, widząc, jak wielką radość sprawia jej ten plan. Po kilku tygodniach ochoczo przystąpili do pracy. Murarze, dekarze, cieśla, a nawet sami państwo Rotkielowie pomagali w remoncie zabytkowej kamienicy. Po upływie kilku miesięcy z dumą zaprezentowali swój zajazd pierwszym gościom. Nazwano go Hotelem Angielskim.

Smaki potraw serwowanych przez lokalnych kucharzy rozślawiały Hotel Angielski na całą okolicę. Rotkielowie pękali z dumy. Znakomita kuchnia i fachowa obsługa sprawiały, że z miesiąca na miesiąc goście przybywali coraz tłumniej. Pewnego razu szczególną uwagę pani Rotkielowej zwrócił jeden z gości. Przybył do zajazdu w jeden z sierpniowych piątków, o godzinie czwartej po południu.

– Uszanowanie, drogiej pani – przedstawił się, kłaniając nisko w progach hotelowej recepcji. – Zwę się Johannes. Czy zechciałaby pani nająć mi pokój na jedną noc?

Pani Ewa wpisała gościa do księgi, wręczając mu klucze do jedyne go wolnego wówczas pokoju numer 13.

Wygląd i ton głosu mężczyzny zaciekały panią Ewę. Był to elegancki, postawny mężczyzna, w stroju zupełnie niedostosowanym do panującej na zewnątrz aury. Przywdział bowiem ciemny płaszcz i cienkie rękawiczki, których, co dziwne, nie zdjął do powitania. Jego twarz zasłaniał kapelusz w kolorze czarnym o szerokim rondzie, spod którego wyłaniały się kosmyki gęstej, ciemnej czupryny. Ton głosu miał mocny, acz spokojny, akcent wskazywał na obce pochodzenie.

– Uprzejmie proszę, zaprowadzę pana na górę – pomocnie odparła pani Ewa.
– Proszę się nie fatygować, mam nieduży bagaż, poradzę sobie. Poza tym dość dobrze znam to miejsce – odparł tajemniczy gość, po czym zwinnym krokiem przemierzył kilka schodów i zniknął na piętrze zajazdu.

– Dziwne – rzekła sama do siebie pani Rotkiel. – Nie pamiętam, by ktoś taki odwiedzał nas wcześniej.

Swoimi wątpliwościami podzieliła się z mężem.

– Moja miła – zaczął pan Karol – być może owy mężczyzna mieszkał tu kiedyś, nim mój wuj przejął kamienicę. A jeśli chodzi o jego strój... Cóż, to rzeczywiście nieco dziwne. Aura pogodowa sprzyja lekkiej odzieży, a on ubrany jest dość nietypowo. Być może wielbi elegancję ponad wszystko? – próbował rozwiać wątpliwości żony.

I zapomnieliby o owym gościu Rotkielowie, gdyby nie to, co przyniosła nadchodząca noc. Zegar zaczął wybijać północ, gdy naraz w hotelu dały się słyszeć dźwięki muzyki, głośne rozmowy i śmiech, zupełnie jakby nagle, w środku nocy, goście rozpoczęli biesiadę. Zerwał się pan Karol na równe nogi, próbując wykryć źródło owych dźwięków.

– Co się dzieje? – zapytała zaspana małżonka. – Czyżby goście zapomnieli o zasadach wzajemnego szacunku?

– Sprawdzę, skąd dobiega ten hałas.

Pan Karol przywdział szlafrok, zapalił świecę i ruszył w kierunku korytarza. Pani Rotkiel pobiegła za nim, nieco przestraszona, kurczowo ściskając ramię małżonka. Szybko odkryli, że źródłem owych dźwięków jest pokój numer 13. Ten sam, w którym zameldował się tajemniczy gość.

– Panie Johannes, panie Johannes, prosimy otworzyć! – zdecydowanym tonem zawołał pan Rotkiel, donośnie pukając w drzwi. Nikt nie wyszedł, za to dźwięki momentalnie ucichły, jakby nagle biesiadnicy znajdujący się w środku zniknęli. Rotkielowie czekali jeszcze chwilę.

– Porozmawiam z nim z samego rana – rzekła pani Ewa.

Małżonkowie wrócili do łóżek z nadzieją na rozwiązanie sprawy, gdy tylko wstanie słońce. Jak wielkie było ich zaskoczenie, gdy rankiem zeszli do recepcji,



a tam, na ladzie, pozostawiony został klucz do pokoju numer 13. Pan Johannes zniknął tak nagle, jak się pojawił.

– Musiał wstać bladym świtem – stwierdziła pani Rotkiel. – Ale w jaki sposób wyszedł z hotelu, nikogo nie informując?

Wypytała hotelowych gości o hałas dochodzący nocą zza drzwi. Potwierdzili jej słowa, jednak nikt nie widział pana Johannesesa. Życie hotelowe toczyło się swoim rytmem i państwo Rotkiel niemal już zapomnieli o niefortunnej wizycie – aż do kolejnego miesiąca, kiedy to, również w piątek, o północy, zbudziły ich te same dźwięki dochodzące z pustego tym razem pokoju numer 13.

– Karolu, tak bardzo się boję! – krzyknęła pani Ewa. – Coś złego dzieje się w tym miejscu...

Podobnie jak poprzednio państwo Rotkiel pukali do drzwi, jednak gdy zbliżyli się do pokoju, wszystko ucichło. Zaniepokoił się pan Karol takim obrotem sprawy, szczególnie gdy na hałasy zaczęli skarżyć się goście, którzy okazjonalnie wynajmowali ten sam pokój.

– Niespokojnie śpi się w tym miejscu. Gdy zegar wybija północ, zza okien dobywa się jakby hałas jakiś, o niezidentyfikowanym źródle... – mawiali.

A wszystko zaczęło się wraz z wizytą tajemniczego gościa w ciemnym płaszczu. Pan Rotkiel postanowił wyjaśnić sprawę niefortunnego pomieszczenia.

– Zostaw pokój pusty – polecił żonie. – Nie wynajmuj go przez jakiś czas. Głowę zaprzęta mi pewna myśl i muszę czym prędzej sprawdzić swoje przypuszczenia.

Pomna rady męża pani Rotkiel starała się zapomnieć o całej sprawie, zajmując się pracą jak dawniej. Pan Karol zaś udał się po radę do swego serdecznego przyjaciela, pana Mariana Kowalskiego, który w Hotelu Angielskim prowadził małą firmę odzieżową z ubiorami dla mężczyzn. W swoim sklepie oferował najnowsze fasony kapeluszy, krawaty, bieliznę, płaszcze, czapki, szale, wiatrówki, garnitury lniane oraz piżamy. Moda była jego prawdziwą pasją, dlatego też wiele lat wcześniej założył czasopismo „Magazyn Mody Męskiej”. Ucieszył się na widok przyjaciela i przywitał się z nim ciepło.



– Drogi Karolu, cóż sprowadza cię w moje skromne progi? Dawno nie odwiedzałeś sklepu. Czyżbyś potrzebował nowego garnituru? Mamy świeżą dostawę, prosto z Włoch. Jest w czym wybierać.

Pan Karol zaśmiał się serdecznie.

– Nie tym razem, mój drogi. Przychodzę z pewnym pytaniem. Czy w twoim sklepie nie zjawiał się ostatnio charakterystycznie ubrany, elegancki mężczyzna w średnim wieku?

Pan Karol opisał dokładnie wygląd Johannesesa, zwracając szczególną uwagę na szeroki kapelusz, który zasłaniał twarz przybysza, oraz cienkie, białe rękawiczki, których nie zdjął ani na chwilę. Opowiedział też o kłopotach, których doświadczają hotelowi goście od czasu pamiętnego sierpniowego wieczoru. Pan Kowalski wydawał się niezwykle zaintrygowany.

– Wielu gości odwiedza mój sklep, ale tego klienta pamiętam szczególnie. Zjawia się u mnie od jakiegoś czasu raz w miesiącu – odparł pan Kowalski.

– Niech zgadnę – zagadnął pan Rotkiel. – Przybywa zawsze w piątki w okolicach godziny czwartej po południu?

– Dokładnie, przyjacielu. Prosi zawsze o to samo – o nowy model kapelusza. Jest niezwykle uprzejmy, lecz sam zastanawiam się, po co mu aż tyle jednakowych nakryć głowy?

Pan Karol wydawał się zadowolony z tego, co usłyszał. Pożegnał się z przyjacielem, prosząc, by ten zawiadomił go, jeśli tajemniczy gość nawiedzi jeszcze kiedyś sklep. Zanim pan Rotkiel wrócił do domu, wszedł jeszcze do kuchennego pomieszczenia, które kiedyś pełniło funkcję piwnicy. Dobył klucz na zaplecze, otworzył stare, skrzypiące drzwi i sięgnął po poźółtką, przykurzoną księgę. Historia miasta. Wuj zostawił mu owy nabytek w spadku wraz z kamienicą. Czytał często mu miejskie legendy, gdy Karol był małym chłopcem. Pan Rotkiel odnalazł interesujący go fragment, czytając zapiski z wypiekami na twarzy. Już wiedział... Pobiegnął szybko na górę, dzierżąc w dłoniach grubą tom.

– Ewo, Ewo! – zawołał małżonkę. – Już wiem, kim był nasz gość...

Pani Rotkiel przybiegła co sił do warsztatu męża. Słowa małżonka wprawiły ją w osłupienie. Dreszcz przebiegł po jej delikatnej skórze, gdy zdała sobie sprawę, kto gościł w progach zajazdu.

Według legendy, przed wielu laty na terenie obecnej kamienicy, gdzie znajdował się Hotel Angielski, stało Czarcie Wzgórze. Było to miejsce cieszące się złą sławą i omijane przez podróżnych. Powiadali oni, że dziwne rzeczy działy się wówczas nocą każdego piątku. Śmiechy, tańce, wrzaski diabelskie, jak gdyby czarci wyprawiali raz w miesiącu szaleńcze biesiady, z sobie tylko znanych powodów. To sam czart z piekielnych czeluści na powrót nawiedził to miejsce, wyprawiając z kompanami czarcie uczyty nocą! Jego strój zaś, a zwłaszcza kapelusz z szerokim rondem, miały ukryć diabelskie cechy wyglądu.

Pani Ewa nie wierzyła w to, co słyszy. Rotkielowie postanowili działać. Poprosili o pomoc znajomego kapłana, ojca Mariana, by poświęcił hotel, odganiając złe moce. Ojciec Marian przystał na propozycję Rotkielów, zjawiając się wieczorem dnia następnego. Odprawił nabożeństwo i modlitwy, by diabelski duch nie burzył już spokoju miejsca, które Rotkielowie tak ukochali. Nie słyszeli już nigdy więcej goście hotelowi tajemniczych odgłosów nocami. Skończyły się też wizyty czarta w sklepie galanteryjnym pana Kowalskiego, a do Hotelu Angielskiego powrócił długo wyczekiwany spokój.



Jak wyobrażasz sobie Hotel Angielski?

(napisz lub narysuj)



Zegar historii

Był rok 1940. Choć krajem targały niepokoje wojennej zawieruchy, ludzie starali się odnaleźć namiastkę spokoju w trudnym, codziennym żywocie. Zegarmistrz Michał Fisz, jak co dzień, otwierał właśnie swój niewielki zakład mieszczący się w okazałej kamienicy na ulicy Nowej 23 w Lublinie. Zwykł mawiać, że zegary mają duszę. Zakład odziedziczył po dziadku, znanym w swym fachu mistrzu. To on czuwał nad edukacją Michała i przyuczał go do zawodu od pierwszych chwil, gdy tylko chłopak wykazał zainteresowanie trudnym, acz pięknym zegarmistrzowskim fachem.

– Popatrz, Michałku – mawiał dziadek – to piękny zegar odnaleziony jeszcze przez moich rodziców, a twoich pradziadków, na strychu domu, w którym co roku spędzasz wakacje. Prawdopodobnie zapomniany lub porzucony przez poprzednich właścicieli. Wyjąłem go z zakurzonego kufra. Zdawał się nie działać i w pierwszej chwili pomyślałem, że może lepiej go wyrzucić, bo w końcu jest bardzo stary i może już dobrze nie spełniać swojej funkcji. Jednak mój ojciec przestrzegł mnie przed tym, mówiąc, że zegary odmierzają to, co mamy najcenniejszego dla siebie i naszych bliskich: czas. I podobnie jak o byt rodziny, o los zegarów trzeba walczyć do końca. Pamiętaj: czas i walka do końca.

Dziadek był dla Michała skarbnicą mądrości. Nie tylko przyuczał jego ojca do fachu, ale także troszczył się o wnuka, objaśniając mu tajemnice zegarowego świata. Michał bardzo przeżył, gdy dziadka zabrała wojna. Szczególnie boleśnie odczuwa tę stratę dziś, kiedy okrutny wiatr historii jego samego wpędził w niespokojną, wojenną codzienność.

– Czas... – w głowie dźwięczały mu słowa dziadka. – Tylko czas może załagodzić ten konflikt... – myślał nieraz Michał.

Cała rodzina od pokoleń trudniła się naprawami zegarów. Dziadek zgromadził ich okazałą kolekcję, którą przekazał w spadku swemu synowi, a ten z kolei – swojemu potomkowi. Ojciec zabierał Michała do warsztatu, gdy ten był małym chłopcem. Pierwsze wspomnienia z dzieciństwa to odgłos cicho tykającego zegara, zawieszzonego nad kołyską na ścianie maleńkiego pokoju, w którym Michał mieszkał wraz z rodzicami. Małe rączki dziecka, którym był wówczas, starały się niezdarnie chwycić poruszające się rytmicznie, kolorowe wskazówki.

Tik-tak, tik-tak... Odkąd pamięta, dźwięk ten zawsze go uspokajał i nastrojał dobrze do pracy. Zakład prosperował bardzo dobrze aż do czasu wybuchu wojny. Choć teraz było dużo trudniej, ludzie dalej powierzali mu w opiekę zabytkowe zegarki. Mawiali, że miał smykałkę do pracy i nikt w okolicy nie potrafił tak trafnie określić, co było przyczyną usterek, które przytrafiały się zegarom. Dla wielu ludzi były to pamiątki rodowe, jedyne, co pozostało po przodkach i wiekach dawno minionych.

– Tylko pan może uratować mój zegar. Jest w naszej rodzinie od pokoleń, a kupił mi go przed laty pradziadek. To najcenniejsza pamiątka – słyszał często Michał.

Doskonale rozumiał uczucia, którymi ludzie darzyli te małe cząstki minionego dawno świata. Sam posiadał taki skarb – zapakowany pieczołowicie w kawałek atlasowego materiału w kolorze bordowym, nadgryzionego już przez ząb czasu, i ukryty w drewnianej skrzynce w komodzie znajdującej się w jego gabinecie. Jedyną pamiątką, która pozostała po jego ukochanym dziadku Feliksie. Drżącą ręką przekazała mu ją babcia na łożu śmierci.

– Trzymałam ten zegarek przy sobie, odkąd wiedziałam, że dziadek nie powróci już z frontu. Ilekroć słuchałam cichego tykania wskazówek, miałam wrażenie, jakby cząstka dziadka, jego serce, wciąż było obecne wśród nas. Myślę, że chciałby, byś otrzymał ten zegarek. Strzeż go jak oka w głowie, a ilekroć stanie jego serce – wskrzeszaj je, dokąd masz siły.

Łza kręciła się w oku Michała za każdym razem, kiedy patrzył na pożółkłą tarczę. To nie był zwykły czasomierz. To jakby poruszające się powoli wskazówki na powrót odmierzały burzliwą historię rodziny Fiszów.

„Ach, gdybyś był ze mną tutaj, dziadku... Myślę, że byłbyś dumny z tego, jak udało nam się z ojcem rozwinąć twój maleńki zakład” – Michał przywoływał czasem w myśli postać protoplasty rodu.

Sukces zakładu Fisza polegał właśnie na jego szczególnym podejściu do swojego fachu. Nie była to zwykła praca. Dla niego zegarki to maleńkie, żywe istoty. Do każdego z klientów podchodził indywidualnie, znajdując czas nie tylko na rozpoznanie problemu, lecz także na chwilę rozmowy o trudach wojennej rzeczywistości. Ludzie darzyli go szacunkiem i licznie przybywali w progi jego zakładu. Terminowość napraw, miłe usposobienie zegarmistrza i czas, który poświęcał każdemu z osobna sprawiały, że sława jego zakładu dotarła do mieszkańców okolicznych wiosek i wsi.

Z czasem ludzie zaczęli spotykać się na zapleczu jego kamienicy, by wspólnie dyskutować i prowadzić długie, wieczorne rozmowy i w ten sposób choć na chwilę zapomnieć o trudnej codzienności, wypełnionej brutalnością wojny. Za drzwiami kamienicy Michała Fisza, wypełnionej cichym tykaniem setek zegarów, czas jakby spowalniał. W kamienicy wieczorami zbierali się sąsiedzi, by wspólnie dzielić się tym, co udało się zdobyć, by przetrwać kolejny dzień. Dobry bochenek chleba, nowa para odzieży czy też kostka cukru – towary na wagę złota w obliczu tragedii wojny – krążyły z rąk do rąk wśród zebranych licznie w progach niewielkiej, jasnej kuchni Fisza. Tu na chwilę zapominało się o smutnej rzeczywistości, wśród sąsiedzkiego gwaru i wspólnych rozmów, człowiekowi łatwiej było walczyć z problemami, które przynosił każdy dzień. A było ich niemało. Wystrzały z karabinów, słyszane na ulicach o każdej niemal porze, i łapanki uliczne organizowane przez Niemców sprawiały, że na mieszkańców padał blady strach, i pozbawiały wiary w lepsze jutro nawet najwytrwalszych.

– Czas – mawiał Michał Fisz, spoglądając na zawieszane na ścianie zegary – tylko czas może pomóc nam przetrwać.

Próbował pocieszać przyjaciół, racząc ich ciepłym naparem ziołowym czy też kompotem, który udało mu się stworzyć ze skromnych, topniejących z dnia

na dzień produktów, schowanych jeszcze na piwnicznych półkach przed wrogim okiem najeźdźcy, gotowego wtargnąć do domostwa o każdej porze dnia i nocy w poszukiwaniu cennych kosztowności.

– Najgorsza jest niepewność – podzielił się pewnego razu z przyjaciółmi swoimi obawami. – Nie wiadomo, czy wychodząc z domu, będzie do czego wracać. Pamiętam ten strach, który spozierał z oczu mego dziadka, gdy opowiadał o czasach swej młodości. Historia zatacza okrutne koło.

Za chwilę jednak otrząsnął się, otarł niewidoczną, płynącą po policzku łzę, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest mu ciężko.

– To ja mam być oparciem dla innych – powtarzał cicho.

Tak mijały dni i miesiące, przeplatane strachem i nadzieją na to, że koszmar wojny wkrótce dobiegnie końca. Z czasem było coraz trudniej utrzymać zakład zegarmistrzowski. Ludzie, przytłoczeni wszechobecną biedą, zaczęli handlować kosztownościami, szukając możliwości na przetrwanie okrutnych czasów. Wyzbywali się również pamiątek rodowych, w tym starych, zabytkowych zegarów. Michał Fisz nawet w chwilach największego zwątpienia nie myślał, by sprzedać najcenniejszy okaz swojej kolekcji: okrągły, metalowy zegarek kieszonkowy, na srebrnym łańcuszku, z portretem dziadka.

– Mógłby być wart górę złota, być może łatwiej byłoby mi utrzymać zakład. Ale dziadek nigdy by mi tego nie wybaczył.

Spoglądał tęsknie w podniszczone, czarno-białe zdjęcie drogiego jego sercu członka rodziny. To dawało mu siłę do wykonywania dalszej pracy. Nastął środek września.

„Nadeszła jesień, dni coraz chłodniejsze” – przemknęło Michałowi przez myśl. Spadające z drzew liście ułożyły wielobarwny dywan przy wejściu do kamienicy. Rzemieślnicy pozdrawiali się serdecznie, ruch gęstniał z każdą chwilą, ot, typowy dzień handlowy. Michał otwierał właśnie skrzypiące drzwi wejściowe do swojego zakładu.

– Chyba muszę je w końcu naoliwić... – zaczął się zastanawiać.

Naraz dał się słyszeć hałas z głębi ulicy. Szybkie, wojskowe kroki i złowrogie pokrzykiwania nie wróżyły niczego dobrego.

– Niemcy... – zdołał szepnąć zegarmistrz, po czym umknął w głąb swego zakładu, zaciągając szczelnie zasłony i drżącymi rękami przekręcając klucz w pośpiechu.

Przez niewielką szparę przykurzonej szyby okiennej zdołał ujrzeć, co stało się przyczyną owych dramatycznych wydarzeń. Niemcy przeprowadzili uliczną łapankę, prowadząc w stronę kamienicy Bogu ducha winnych dwudziestu czterech mieszkańców pobliskich budynków. Smutno zwieszono głowy nieszczęśników, wiedzących już, co ich czeka, napawali przerażeniem pana Michała. Zesłano ich do przymusowego obozu pracy w Hrubieszowie.

– Jak długo jeszcze, jak długo... – szepnął sam do siebie, zaciskając zbielałe ze strachu dłonie na tarczy okrągłego zegarka, rodowej pamiątki, którą trzymał zawsze przy sobie.

Zegar, jak gdyby czując przerażenie, które ogarnęło ulicę Nową, zatrzymał się w godzinie przesądzonego losu przypadkowych mieszkańców miasta. Michał Fis zsunął się na ziemię. Mgliste wspomnienie twarzy dziadka było ostatnim, co zobaczył tamtego dnia. Serce zegarmistrza nie wytrzymało napięć i szoku wywołanego niespodziewaną akcją okupanta... Pod wieczór odnalazł go dozorca kamienicy. Próbował nieść pomoc, ale było już za późno. Wielki żal ogarnął jego najbliższych przyjaciół.

– Odszedł człowiek o wielkim sercu, otwartym dla wszystkich – mówili o nim jeszcze przez długie miesiące ci, którzy tu pozostali.

Zakład przejęli inni kupcy. Wprowadzili się kilka miesięcy później. Pieczołowicie kolekcjonowane zegary Michała Fisza złożyli do pudeł, które zaginęły podczas wojennej tułaczki kolejnych rezydentów kamienicy. Wieść niesie, że gdzieś na strychu kamienicy mogą znajdować się po dziś dzień, niesione losem burzliwych dziejów historii





Tajemnica starej oficyny

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy pan Stanisław Tymiński, szanowany obywatel miasta Lublin, kończył właśnie swoją pracę. Pan Tymiński był znanym w okolicy mistrzem kowalstwa. Podkuwał konie, a także wytwarzał przedmioty użytkowe z wszelakich metali. Były to głównie pierścienie, obrączki i bransolety. Bardzo lubił pracę w swoim zakładzie. Choć wydawała się ciężka, odprężała go, bo wymagała skupienia i ciszy. Lubił, gdy nie przeszkadzano mu w pracy. Mieszkańcy zwracali się do niego o pomoc w przeróżnych naprawach, a on nikomu nie odmawiał. Pomagał nawet tym, których nie stać było na choćby skromną zapłatę za usługę, w myśl zasady, że dobro okazane drugiemu człowiekowi, zawsze powraca, podobnie jak zło, które bliźniemu się uczyni. Starał się trzymać tej reguły i choć nie zawsze interes się kalkulował, swoją postawą zdobywał w mieście szacunek wśród przedstawicieli każdej klasy społecznej. Jego zakład mieścił się na piętrze małej, starej kamienicy, gdzie zajmował jedno nieduże pomieszczenie. Pan Tymiński myślał skrycie o rzemiośle z prawdziwego zdarzenia, w jednym z okazałych budynków w centrum miasta, jednak wiedział, że na spełnienie tego marzenia musi jeszcze trochę poczekać. Tymczasem wykonywał swoją pracę dokładnie, nie szczędząc wysiłków. Jednym z jego zamożniejszych klientów był burmistrz miasta, który wpadał do zakładu na pogawędkę.

- Jak idzie praca, panie Tymiński? – zagadywał burmistrz ochoczo.
- Nie męczy pana ten hałas?
- Nie zwracam już na niego uwagi – odpowiadał zazwyczaj pan Stanisław. – Wie pan, jak to jest w życiu: jeśli człowiek lubi to, co robi, tak naprawdę nie czuje, że to praca.

Burmistrz podziwiał cierpliwość i zręczność, z którą kowal wykonywał zleczone mu zadania. Nie wiedział jeszcze, że kowal Tymiński znacząco przysłuży mu się w pewnym kłopotcie...

Razu jednego burmistrz udawał się właśnie dorożką na ważne spotkanie w miejskim ratuszu. Ubrany szykownie, zasiadł do powozu. Woźnica ruszył, spiesząc się, byli bowiem już nieco spóźnieni. Naraz dał się słyszeć zgrzyt kół, dorożką zatrzęsło, a koń chrapliwie zarżał, przestraszony.

– Panie burmistrzu, koło od dorożki wypadło, nie pojedziemy dalej – odrzekł strapiiony woźnica.

– Nie może być! To bardzo ważne spotkanie! – zdenerwowany burmistrz wyskoczył z powozu, rozejrzał się dookoła, po czym krzyknął niespodziewanie: – Mamy szczęście!

Woźnica niewiele zrozumiał z reakcji burmistrza, gdy spostrzegł, że biegnie on w stronę jednej z niewielkich kamienic. Okazało się, że powóz stanął tuż przy bramie kowala Tymińskiego.

– Panie Tymiński! Panie Tymiński! – krzyknął od progu burmistrz. – Zdarzył się wypadek. Musi mi pan pomóc!

Burmistrz pokrótce opisał sytuację, na co kowal odrzekł:

– Proszę mi tylko pomóc przyciągnąć tu pański pojazd. Coś zaradzimy.

Szybka reakcja kowala i precyzja, którą wykazał się również tym razem, uratowały dorożkę burmistrza. Po niecałej godzinie pojazd gotowy był do dalszej drogi.

– Nie wiem, co bym zrobił bez pana. Proszę pozwolić mi się jakoś odwdzięczyć – zaproponował uradowany burmistrz, odwiedzając kowala po kilku dniach.

Burmistrz złożył panu Stanisławowi propozycję objęcia opieką miejskiego zegara, na którą ten ochoczo przystał. Od tej pory zajmował się także naprawami ogromnego zabytku, który co dzień o godzinie 12 wybrzmiewał radosne tony, oznajmiając mieszkańcom Koziego Grodu, że oto nastąpiło południe. Precyzyjne mechanizmy działania zegarów oraz ich dźwięki bardzo

interesowały kowala, toteż wszelkie kłopoty, których doświadczał tak ważny dla mieszkańców symbol, traktowany ze szczególną troską, pan Stanisław rozwiązywał z uwagą.

Ostatnimi czasy pan Tymiński miał szczególne powody do zadowolenia. Burmistrz nie szczędził grosza, widząc, jak bardzo kowal przykłada się do pracy. Interesy szły tak dobrze, że zdołał odłożyć sporą ilość gotówki.

– Czas rozejrzeć się za nowym lokum. Moje marzenie zaczyna się spełniać – cieszył się pan Tymiński.

Długo oglądał miejskie budynki na sprzedaż, jednak żaden nie spełniał jego wymagań. Lokum musiało być dostatecznie duże, by pomieścić jego kowalskie narzędzia, których zdążył uzbierać sporą ilość przez lata. Zaczynał się już martwić, gdy z pomocą, ponownie, przyszedł burmistrz. Wezwał go na rozmowę pewnego poranka, kiedy ten stał się w progach ratusza, by rozpocząć konserwację zegara.

– Panie Tymiński – zagadnął burmistrz – wiem, że rozgląda się pan za nowym zakładem kowalskim i napotyka pan na pewne trudności. Chcąc docenić pana solidną pracę, mam pewną propozycję. Niejaki Antoni Czempiński, szewc, sprzedaje właśnie pewną oficynę. Mieszkał tam zastanawiająco krótko. Dość powiedzieć, że zależy mu na szybkiej transakcji. Wyprowadza się z miasta. Czy byłby pan zainteresowany?

Pan Tymiński z ochotą przystał na propozycję burmistrza i po kilku tygodniach, po dopełnieniu wszystkich formalności, rozpoczął przeprowadzkę do przestronnego budynku, zlokalizowanego przy Krakowskim Przedmieściu 10. Zdziwił go nieco pośpiech, z którym poprzedni właściciel opuszczał mury oficyny, jednak nie mieli możliwości zamienić ze sobą choćby kilku zdań, bo pan Czempiński zdawał się raczej niechętny do rozmowy na ten temat. Po kilku miesiącach nowy zakład kowala ruszył pełną parą. W większym pomieszczeniu pracowało mu się znacznie lepiej, sam dziwił się, ile miejsca ma teraz do dyspozycji. Urządził się na samym dole, gdzie huk jego narzędzi nie był uciążliwy dla najbliższego otoczenia. Tuż obok znajdowała się stara piwnica.

Pan Tymiński chciał zmienić układ pomieszczeń w budynku i połączyć ją ze swoim warsztatem, jednak zorientował się dość szybko, że poprzedni właściciel nie zostawił mu klucza do owego pomieszczenia.

– Niedopatrzenie. W pośpiechu zapomniał pewnie o tym. Odłożę to na później, kiedy zakład zacznie ruszać pełną parą – tłumaczył poprzedniego lokatora kowal.

Niemal zapomniał o sprawie. Lecz razu pewnego miał wyjątkowo dużo pracy. Klienci przybywali tłumnie również i do nowego miejsca. Wykuwał właśnie stalową obręcz, przy dźwięku wprawionych w ruch narzędzi kowalskich i iskrach obrabianego metalu, kiedy nagle usłyszał dziwny odgłos. Coś jakby huk, z bliżej niezidentyfikowanego źródła. Przystanął na chwilę, przerywając pracę.

– Czyżby to moje narzędzia? – zastanawiał się. Huk powtórzył się po kilku sekundach. Kowal przeraził się nie na żarty, bo dźwięk wydobywał się wyraźnie z bliskiej odległości. Przypominał serię wystrzałów armatnich. Po upływie kilku sekund nastąpiła cisza.

– Muszę już chyba odpocząć, rozum zdaje się płatać mi figle.

Udał się na krótki spoczynek, zapominając o wszystkim. Jednak za kilka dni sytuacja powtórzyła się; im głośniej pracowały jego narzędzia, tym głośniejszy huk wydobywał się zza zaryglowanych drzwi piwnicznych. Początkowy strach kowala Tymińskiego ustąpił miejsca niezwyklej ciekawości. Zbliżył się do piwnicy, nasłuchując uważnie.

– Coś dzieje się za tymi drzwiami – powiedział sam do siebie.

Postanowił przyrzeć się bliżej tej sprawie, szukając kontaktu z poprzednim właścicielem budynku. Pan Czempiński niechętnie zgodził się na spotkanie. Potwierdził obawy kowala – wyniósł się z kamienicy przez niezidentyfikowane dźwięki, które nocą dobiegały z dołu budynku.

– Panie Tymiński, odchodziłem już od zmysłów. Coś złego dzieje się w tym budynku, nie mogłem dłużej czekać. Wyniosłem się stamtąd czym prędzej.

Kowal postanowił rozwikłać zagadkę piwnicy starej oficyny. W tym celu udał się do miejskiego ratusza.

– Panie burmistrzu, czy mogę poprosić o wgląd w księgę mieszkańców oficyny, którą zakupiłem jakiś czas temu? – poprosił.

Burmistrz, nieco zdziwiony, przystał na propozycję pana Tymińskiego i udali się wspólnie do miejskiego archiwum. Po kilku godzinach wertowania przykurzonych ksiąg kowal Tymiński wydał radosny okrzyk.

– Znalazłem!

Burmistrz zdawał się niewiele rozumieć z całego zamieszania. Kowal opowiedział mu zatem historię serii tajemniczych dźwięków, wydobywających się wieczorową porą zza zaryglowanego pomieszczenia.

Okazało się, że przed laty, nim pan Czempiński wszedł w posiadanie praw do budynku, w obecnym zakładzie kowala mieściła się oficyna puszkarska. Położony poza ówczesnymi granicami miasta budynek, pełnił funkcję warsztatu do odlewania kul i wyrobu prochu. Pieczę nad nim piastował zbrojmistrz Rejtman, który odpowiadał za miejski arsenał. Pewnego razu zbrojmistrz nie pojawił się na stanowisku pracy. Szukała go rodzina i ratusz, jednak przepadł bez wieści. Powiadali ludzie, że zginął gdzieś, polerując zbrojne działo.

Pan Tymiński i burmistrz naradzali się długo.

– Czy to możliwe, że w piwnicy straszy duch starego Rejtmana...?

Rozum podpowiadał, że to tylko złudzenia, jednak ciarki przebiegły po ich plecach na samą myśl o tym, co mogą znaleźć za drzwiami. Zdecydowali się dostać do piwnicy budynku.

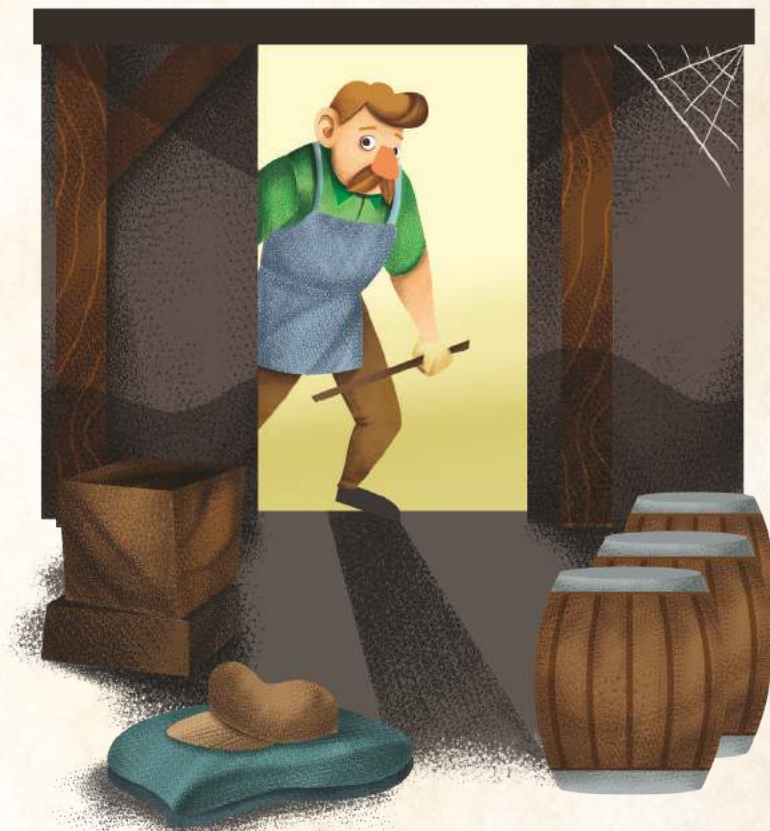
– Poczekajmy do jutrzejszego poranka – zaproponował burmistrz – światło dnia może ukazać ciekawe znaleziska.

Pożegnali się serdecznie, a kowal ruszył w drogę powrotną, z głową pełną niespokojnych myśli.

Nazajutrz z rana kowal i miejscy murarze, wezwani na pomoc, przecięli rygiel zamka. Ich oczom ukazało się pełne pajęczyn, ciemne pomieszczenie. Tu i ówdzie rozłożone były stare, nadgryzione zapewne przez korniki beczki na wodę czy też niewielkie pudełka, w których przechowywało się zapasy na zimę. Już mieli odejść, gdy kowal zauważył jakby kopiec ziemi w rogu, tuż przy ścianie.

Zbliżyli się wszyscy i wstrzymali oddech... Fragmenty ubrania, proch i czapka zaginionego przed wiekami zbrojmistrza odnalazły się właśnie po latach. Wiedziony przecuciem kowal domyślił się, że przed wieloma laty w miejscu obecnej piwnicy mieściła się zbrojownia. A Rejtman mógł zginąć, postrzelony przy czyszczeniu broni. Leżał tu całe lata, aż do teraz, kiedy to jego niespokojna dusza zaczęła się upominać o godny pochówek.

Burmistrz uściśnął dłoń dzielnemu kowalowi, dziękując za odwagę. Powiadomiono potomków Rejtmana, którzy odetchnęli z ulgą, bo oto po latach niepewności rozwikłali zagadkę losu zaginionego krewnego. Kowal Tymiński kontynuował pracę w murach oficyny, adaptując pomieszczenie piwniczne na swój warsztat. Nigdy już nie słyszał tajemniczych dźwięków, a do oficyny powrócił spokój.



Co schowasz w zbrojowni?

(napisz lub narysuj)



Piękno w fotografii zaklęte

Wiele lat temu, w wieku XIX, gdy nieznane światu było jeszcze utrwalanie ulotnych chwil na kliszy fotograficznej, ludzie poszukiwali sposobów na upamiętnienie najważniejszych wydarzeń życiowych. Piękno otaczającego krajobrazu, podróże, życie codzienne – wszystko to, co składa się na pamięć człowieka, a trwa zaledwie moment.

Myśl o ujęciu tych magicznych chwil na lata z pewnością przyświecała znanemu malarzowi, pochodzącemu z pięknego miasta Lublin, panu Urbańskiemu. Był on koneserem sztuki. Wykształcony na najlepszych uniwersytetach artysta plastyk, po latach zagranicznych wojaży, powrócił do bram swego ukochanego miasta, by rozpocząć tutaj przygodę ze sztuką.

– Jeden wprawny ruch pędzla potrafi zatrzymać wspomnienia na kawałku płótna na wieki – mówił uczniom tutejszego gimnazjum i liceum, w którym sprawował funkcję nauczyciela plastyki.

Cierpliwy i wyrozumiały, cieszył się dobrą opinią wśród uczniów, z którymi często dyskutował na temat obrazów ówczesnych mistrzów malarstwa. W zaciszu swojego domostwa, w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu, malował pejzaże przedstawiające bliskie jego sercu miasto. Goście, których witał w progach swojego domu pan Urbański, podziwiali kolekcję jego dzieł sztuki, którą zgromadził przez lata w swoim gabinecie.

– Ma pan prawdziwy talent, panie Urbański – mawiali z zachwytem. – Szkoda, by takie dzieła kurzyły się w zaciszu domu.

Komplementy schlebiały skromnemu artyście. Kiedy tylko miał wolną chwilę, rozwijał techniki malarskie, śledząc albumy mistrzów i nowe trendy w sztuce europejskiej. Świadomy potencjału, jaki niesie za sobą sztuka, postanowił spróbować swych sił w tworzeniu portretów. Poprosił o pomoc przyjaciół, którzy chętnie zgodzili się pozować, siedząc niemal nieruchomo przez długie godziny, w trakcie których pan Urbański odzwierciedlał precyzyjnymi ruchami pędzla najmniejsze detale. Zmarszczka, lekki uśmiech, kolor oczu, a nawet grymas, który przybierała twarz, wszystko to składało się na imponujący, finalny efekt w postaci portretu.

Pan Urbański miał zwyczaj darować swe dzieła w prezencie tym, którzy poświęcili czas, by pomóc mu rozwinąć malarskie umiejętności. Aż razu pewnego, za sugestią gospodyni, która zajmowała się porządkiem w jego kamienicy, postanowił spożytkować swój talent dla dobra nie tylko przyjaciół, lecz także całej społeczności miasta.

– Panie Urbański – rzekła gospodyni, delikatnie ujmując w dłonie jeden z obrazów – czy myślał pan o tym, by swoje dzieła pokazać w szerszym gronie?

Tak zrodziła się w jego głowie myśl, by pasję malarską przekuć w źródło dodatkowego dochodu. Zaadaptował poddasze swojej kamienicy i rozpoczął pracę miejskiego portrecisty. Tworzył portrety olejne mieszkańców miasta, które następnie sprzedawał. Lublinianie zachwycili się nowymi możliwościami, które oferował zakład malarski pana Urbańskiego. Tłumnie przybywali do niego całymi rodzinami, cierpliwie znosząc trudy wielogodzinnego pozowania, by otrzymać w zamian ceną pamiątkę – dopracowany w szczegółach portret. Sława Urbańskiego dotarła do mieszkańców okolicznych miasteczek. Klientów przybywało, sam malarz zaś zyskał miano „olejnego fotografa” – specjalizował się bowiem w malarstwie olejnym.

Wkrótce w domostwach większości mieszkańców Lublina zawisły portrety dzieła znakomitego malarza-fotografa, którym stawał się z dnia na dzień pan Urbański. Zleceń na portrety systematycznie przybywało, dlatego też postanowił poszukać pomocnika, którego mógłby przyuczyć do pracy w swoim fachu. Rozesłał informację w gronie swych uczniów i wśród okolicznych rzemieślników. Nie brakło chętnych do pracy pod okiem mistrza, jednak talent żadnego z kandydatów nie zachwyił mistrza.

– Portrety są bez wyrazu, nie mają tego, co w malarstwie nazywa się odzwierciedloną na płótnie duszą – powiedział mistrz, oceniając kolejną, niezbyt udaną jego zdaniem, pracę.

Los splotał mu jednak figla. W dniu, w którym postanowił przerwać poszukiwania współpracownika w dziele tworzenia, w bramach jego zakładu zjawił się niespodziewany gość. Mężczyzna w średnim wieku, z sumiastym wąsem i czarną tęczką, którą kurczowo trzymał w dłoniach.

– Uszanowanie, drogi panie – zaczął rozmowę przybysz, kłaniając się panu Urbańskiemu. – Moja godność Adolf Benni. Wieść niesie, że szuka pan pracownika. Oto jestem, gotów pokazać panu coś, co zrewolucjonizuje pana spojrzenie na sztukę.

Słowa tajemniczego gościa zaintrygowały pana Urbańskiego na tyle, że zaprosił go do swojej pracowni. Po krótkiej pogawędce zdołał się dowiedzieć, że przybysz jest wędrownym artystą, który podróżuje po świecie, zatrzymując się co i raz w różnych miastach całej Europy, by poszukiwać nowych, zawodowych wyzwań. Skąd dowiedział się o ofercie Urbańskiego, tego nie zdradził. Dość powiedzieć, że bardzo chciał pracować przy jego boku.

– Cóż to za wynalazek, o którym szanowny pan raczył wspomnieć na początku naszej rozmowy? – zaciekawiony malarz zapytał Benniego.

– Słyszał pan kiedyś o dagerotypie? Poznałem tę technikę podczas zagranicznych podróży. Jeśli da mi pan szansę, zostanie pan pionierem w tej dziedzinie – Benni przystąpił do objaśnień.

Opowiedział, jak włoscy mistrzowie portretują ludzi i malownicze krajobrazy za pomocą dagerotypii – unikatowej techniki tworzenia obrazu na posrebrzanej i polerowanej miedzianej płytce, na którą nanosi się warstwę pierwiastka zwanego jodkiem srebra. Z jego pomocą wymalowuje się kształty i pejzaże, po naświetleniu zaś końcowy obraz wywołuje się w parach rtęci.

Malarz Urbański słuchał, nie dowierzając, jak ogromne możliwości może dać mu zaproponowana przez Benniego technika. Oczyrna wyobraźni widział już, jak znacznie proces tworzenia takich portretów usprawni jego pracę, a perspektywa

przecierania szlaków w rozwoju dziedziny fotografii, którą tak bardzo interesował się przez lata, sprawiła, że ochoczo przystał na propozycję przybysza.

Wkrótce rozpoczęli współpracę. W ciągu kilku miesięcy niewielki zakład fotograficzny pana Benniego stał się pierwszym, stałym zakładem dagerotypowym, prowadzonym przez mieszkańca tego miasta. Benni okazał się nie tylko zdolnym technikiem, lecz także czarującym mówcą. Elokwencja i czar opowiadań o zagranicznych podróżach, którymi raczył pozujących słuchaczy, sprawiały, że klientów przybywało. Interes prosperował znakomicie, stąd też panowie Benni i Urbański postanowili poszerzyć swoją ofertę o usługi introligatorskie. Urbański dalej malował portrety, bo zainteresowanie nimi nie słabło. Wspólnicy zaprzyjaźnili się bardzo z biegiem lat, choć na początku wydawało się, że ich wizja rozwoju technik fotograficznych nie będzie spójna.

Urbańskiego intrygował zwłaszcza jeden fakt związany z Bennim: co dzień znikał on w okolicach południa na dwie–trzy godziny na poddaszu kamienicy, prosząc, by to pan Urbański zajął się wówczas sporządzaniem portretów przybyłych wówczas chętnych. Pytał przyjaciela nieraz, co tak zajmuje go popołudniową porą, jednak Benni wyraźnie wykręcał się od odpowiedzi.

– Każdy mistrz potrzebuje chwili dla siebie – tłumaczył Benni. – Poza tym, by być dalej dobrym, trzeba nieustannie ćwiczyć. I ja ćwiczę swoje umiejętności w zaciszu poddasza.

Urbański nie naciskał na współnika, choć sam przed sobą przyznawał nieraz, że miał ochotę cicho podążyć na górę za Bennim, ilekroć ten udawał się na spoczynek.

Pewnego dnia Benni udał się na górę popołudniową porą, jak to miał w zwyczaju.

– Zostawiam zakład pod twoją opieką, przyjacielu – zagadnął malarza Benni. – Powrócę za kilka godzin, jak zawsze.

Pan Urbański przytaknął, zajęty obsługą klientów, którzy tego dnia przybyli do zakładu fotograficznego wyjątkowo licznie. W ferworze zajęć i pracy, która tego dnia przypadła mu w udziale, nie zauważył, że Benniego nie ma

wyjątkowo długo. Nie zszedł na dół o umówionej zawsze porze. Kiedy ostatni klient opuścił zakład fotograficzny, Urbański, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością współnika, zawołał go dwukrotnie po imieniu. Odpowiedziała mu cisza, zatem udał się spieszenie na górę, pełen złych przeczuć.

– Co takiego mogło się zdarzyć? – zapytał sam siebie.

Jednocześnie ciekawiło go niezmiernie, co tak zajmowało przyjaciela co dzień i czy mogło być to przyczyną jego nieobecności. Gdy dotarł na strych, oczom jego ukazało się zaciemnione pomieszczenie, pośrodku którego stała przykryta beżowym płótnem sztaluga. Benni spał. Zmęczony trudami dnia, zaległ na ustawionej tuż obok sofie. Urbański odetchnął, spokojny, że nic złego nie przytrafiło się przyjacielowi. Podniósł płócienną kotarę, by choć zerknąć na to, co kryło się na sztaludze. Patrzył na niego Benni – tylko młodszy, ten sam, delikatny uśmiech i błysk w oku, jedynie brak było charakterystycznych, podkreślonych wąsów. Była to bowiem twarz młodego chłopaka.

– Autoportret – szepnął pan Urbański sam do siebie, zdumiony. – Nie wiedziałem, że Benni zajmuje się także malarstwem.

Przykrył obraz, nieco zdumiony, że przyjaciel jak dotąd nie pochwalił się dziełem, które tworzył w pocie czoła przez ostatnie miesiące. Cicho wycofał się w kierunku schodów.

– Mistrzu, zdrzemnąłem się chwilę – powiedział zaspany Benni, schodząc na dół. – Wracam już do pracy.

– Nie wiedziałem, że malujesz – zagadnął go pan Urbański.

Benni wyraźnie się zdenerwował.

– To moje prywatne dzieło, nie sądzę, że powinieneś być je oglądać.

Pan Urbański zdumiał się wielce na sugestię współnika, jakoby próbował on naruszyć jego prywatność. Nie pytał już więcej o portret, jednak nie dało się nie zauważyć, że od tej chwili ich wzajemne stosunki nieco się ochłodziły. Nie rozmawiali już tyle, co dawniej. Benni zniknął na coraz dłuższe godziny, w trakcie których wydawał się coraz bardziej zmęczony. Twarz mu poszarzała, wzrok stracił dawną ostrość, wydawał się bardzo niespokojny. Nie wspominał ani słowem o swoim dziele. Malarz próbował raz po raz

zagadnąć przyjaciela o powód tak nagłej zmiany w zachowaniu, jednak nie chciał on rozmawiać o przyczynach swojego strapienia. Pan Urbański miał wrażenie, że przyjaciel gaśnie z dnia na dzień. Postanowił zarządzić jego zmartwieniom. Pomyślał, że dobrze zrobiłaby im wspólna wyprawa, w trakcie której mogliby spokojnie pomówić jak dawniej i zapomnieć o niesnaskach, które przecież zdarzają się wszędzie.

Udał się do sąsiedniego miasta, nie wyjaśniając Benniemu celu wyprawy. W połowie drogi zawróciła go jednak straszna wiadomość: napotkany na drodze klient zakładu krzyknął, że pracownia fotograficzna Urbańskiego i Benniego stanęła w płomieniach! Przerazony malarz zawrócił woźnicę i pojazd, gnając co tchu z powrotem, pełen obaw o los nie tylko przyjaciela, lecz także pozostawionych pod jego opieką dzieł sztuki.

Gdy dotarł na miejsce, zobaczył tłum gapiów. Z pracowni wydobywały się kłęby duszącego dymu.

– Benni, Benni! – krzyczał malarz w rozpacz.

Przecucie podpowiadało, że nie da się uratować przyjaciela. Ogień strawił jego dobytek, wraz z tym, który tak bardzo pomógł mu się rozwinąć.

– Mistrzu Urbański, to jedyne, co udało się uratować – odrzekł pracownik miejskich służb, wręczając malarzowi nadpalone płótno.

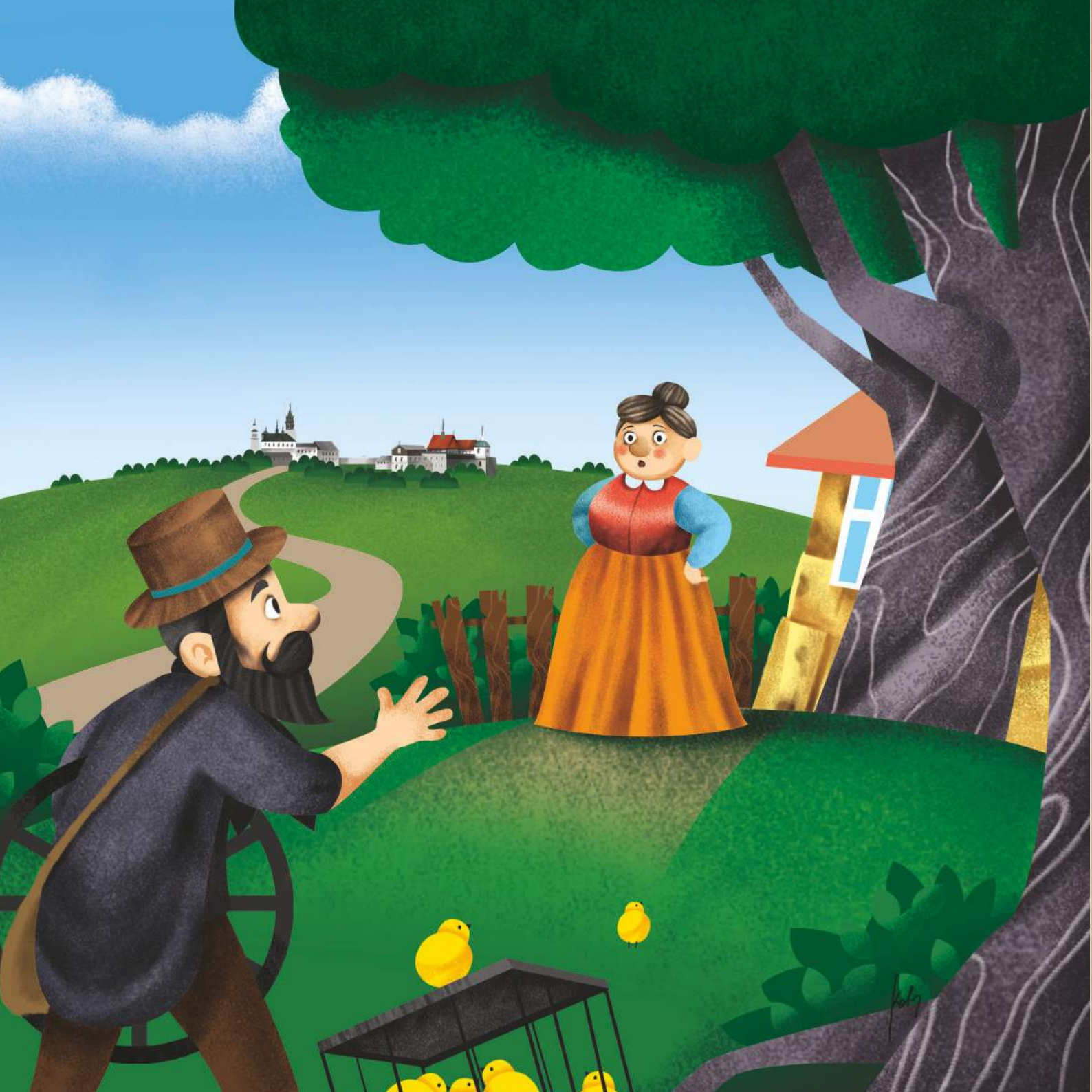
„Portret Benniego” – przemknęło panu Urbańskiemu przez myśl.

Zrzędzeniem losu płótno ocalało. Jakież było zdziwienie mistrza, gdy zerknął na zawartość płótna. Spoglądała na niego zmarszczona twarz o smutnych oczach, które zdawały się być nieobecne. Ani śladu roześmianego młodzieńca, którego dostrzegł na portrecie mistrz klika miesięcy wcześniej.

– To niemożliwe – krzyknął pan Urbański – by portret starzał się wraz z jego twórcą...!

Magiczny obraz przetrwał pożar, by zaginąć kilka miesięcy później, przy przeprowadzce do nowego zakładu, który malarz urządził w pobliskiej kamienicy. Nie uwierzyli mu jednak ludzie w opowieść o duszy zaklętej w skrawku płótna, którą zamknął tam artysta Benni. Oprócz barwnego obrazu nie pozostał nawet ślad po tajemniczym malarzu, który tworzył ludzkie portrety.





O chlebowym koguciku

Przed wielu laty, gdy handel rozwijał się bujnie w całym kraju, a sklepy, targowiska i małe sklepiki sprzedawały towary najróżniejszego gatunku, począwszy od artykułów spożywczych, przez odzież i cuda przemysłu włókienniczego, w malowniczej wsi Bronowice, niedaleko miasta Lublin, mieszkała pani Zyta Bajgiel.

Była to energiczna, uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, o której sąsiedzi mawiali, że na nikim tak polegać nie można, gdy trzeba zrobić interes, jak właśnie na niej. Znała niemal każdego sklepikarza z okolicznych targowisk. Żyła w przyjaźni z młynarzem, który dla niej odsiewał mąkę najlepszego gatunku, pakując ją szczelnie w worki i wysyłając pomocników, by pomogli dostarczyć je pod dom pani Zyty.

– Pani Zyto, świeżutka przesyłka – uśmiechał się zawsze młynarz, ilekroć kobieta zjawiała się w bramie młyna z zapytaniem o kolejną porcję smacznej mąki.

Pani Zyta prowadziła znaną we wsi piekarnię. Ludzie mawiali, że nic nie dorówna zapachowi chleba, który wypieka się tam, w Bronowicach. Po świeżutkie, aromatyczne bochenki co dnia ustawiała się kolejka mieszkańców, niemogących nachwalić się wypieków pani Zyty.

– Majstersztyk, droga pani! – mawiali zadowoleni klienci. – W promieniu kilku kilometrów nie ma tak chrupiącego pieczywa, jak u pani.

Z wielką ochotą kosztowali także jej kruchych ciasteczek, które często dodawała do chlebowych zamówień. Pani Zyta uśmiechała się serdecznie do każdego z klientów, życząc smacznego, gdy pakowała energicznie bochenki chleba i bułki.

– Najlepsze w całych Bronowicach! – zachwalała swoje produkty.



Lubili ludzie u niej kupować chleb, gawędzili zawsze długo, mówiąc, że atmosfera w piekarni pani Zyty jest tak miła, że aż nie chce się wracać do siebie.

Jak to bywało na wsi w dawnych latach, lokalna społeczność integrowała się wspólnie, pomagając sobie nawzajem. Nieraz pani Zyta przyniosła jeszcze ciepły bochenek sąsiadce, która niedomagała, czy też koszyk warzyw z przydomowego ogródka, o który dbała wyjątkowo szczególnie. Praca w niewielkim gospodarstwie dawała jej prawdziwą radość.

– Tutaj jest moje miejsce. Świeże powietrze, przestrzeń, natura – opowiadała przyjezdnym z sentymentem o swoim gospodarstwie.

Nie skarżyła się nawet, gdy bywało trudniej, tłumacząc, że człowiek musi być silny i dbać o ziemię daną mu pod opiekę. A trzeba przyznać, że praca na wsi nie była lekka, zwłaszcza że pani Zyta mieszkała w drewnianym domu sama, odkąd zmarł przed laty jej ukochany mąż. Nie doczekali się dzieci. Pani Zyta spoglądała nieraz na ścianę gościnnego pokoju, gdzie wisiał poźółkły już przez lata portret męża, z którym spędziła życie w szczęściu, nim zabrała go choroba. Często po dniu pełnym pracy siadała przed portretem, wspominając z rozrzewnieniem szanownego małżonka. Miała w zwyczaju opowiadać mu, jak spędziła dzień i dzielić się szczegółami codziennych spraw.

– Józefie, byłbyś ze mnie dumny. Piekarnia prosperuje całkiem nieźle, chleb według receptury twego dziadka, niezmiennej od lat, cieszy smakiem mieszkańców naszej wsi i jest obecny na stołach naszych najbliższych sąsiadów. Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy upiekliliśmy chrupiący bochenek?

Nieraz przy takich rozmowach pani Zyta ocierała małą tzę, która pojawiła się nagle na policzku na wspomnienie wspólnej drogi, którą małżonkowie pokonali, gdy przyjechali tutaj z dalekich stron, nim osiedlili się na bronowickich ziemiach. W takich chwilach szybko starała się zająć swoje myśli tak, by nie tracić ani chwili z cennego czasu, który mogłaby przeznaczyć dla dobra swego gospodarstwa.

Pani Zyta wstawiała bladym świtem, nie tylko, by zdążyć wypiec chleb, który rankiem miał czekać na mieszkańców na półkach piekarni, lecz także by dokonać

obrzędki w gospodarstwie. Hodowała kury, dbając o nie szczególnie. Znoszone przez nie jajka wykorzystywała w doskonaleniu sztuki kuchennej. W chwilach wolnych od pracy w gospodarstwie wypiekała smaczne ciasta wszelkiego rodzaju i chętnie obdarowywała nimi sąsiadów, zapraszając ich do siebie wieczorową porą. Najbliżsi mieszkańcy Bronowic dobrze znali panią Zytę i chętnie wpadali skosztować kolejnego kuchennego cuda, które wyszło spod ręki uzdolnionej kucharki. Nie odmawiali także sąsiedzkiej pomocy, kiedy ta o nią prosiła.

Mijały miesiące, zmieniały się pory roku, krajem targały konflikty, a na spokojnym skrawku ziemi pani Zyty czas jakby się zatrzymał. Ktokolwiek odwiedzał to miejsce, miał wrażenie, że tu pędzący świat zwalnia, by przysiąść na chwilę u bram domu zaradnej gospodyni Bajglowej.

Pewnego razu przez wieś przejeżdżał kupiec Rajchel. W dorożce wyładowanej po brzegi produktami spożywczymi i warzywami przewoził też młode pisklęta, które zamierzał sprzedać na miejskim targowisku. Pech chciał, że pośrodku drogi koło zerwało się z jego dorożki tak niefortunnie, że dalsza podróż nie była możliwa.

– Co ja pocznę, muszę rozwieźć towar do sklepu, a tutaj ruszyć się nawet nie mogę... Moje kury, moje towary! – począł lamentować kupiec.

Stało się to tuż przy drodze prowadzącej do gospodarstwa pani Zyty. Zszedł z dorożki, zebrał wszystko, co rozsypało się na drodze i począł szukać ratunku. Zauważyła go gospodyni pracująca wówczas w ogrodzie. Przybiegła w te pędy, pytając, czy można mu jakoś pomóc.

– Z nieba mi pani spadła – odetchnął z ulgą kupiec. – Jestem w drodze do miasta, koło zerwało się z mego powozu. Nim zajdzie słońce, nie zdołam już dotrzeć na targ miejski, a przewożę ze sobą pisklęta. Czy mogę przechować je u szanownej gospodyni, nim naprawię dorożkę? Najbardziej żal jest kur i kogutów, które także zamierzałem sprzedawać.

Gospodyni, nie mogąc pozostać obojętna na problem kupca, pomogła przenosić klatki z pisklętami na swoje podwórko.

– Niech zaczekają tu na pana, jadła i paszy mam dość, starczy i dla nich.

Niech pan posili się przed udaniem się w dalszą drogę, a ja tymczasem będę doglądać ptaków.

Kupiec Rajchel chętnie skorzystał z propozycji gospodyni. Nie mógł nadziwić się, jaki porządek panuje w domu, biorąc pod uwagę, ile pracy trzeba włożyć w pracę na gospodarstwie. Gospodyni Bajglowa uraczyła go pysznym kawałkiem świeżo upieczonej szarlotki oraz konfiturą malinową domowej roboty. Po pół godzinie rozmawiali już jak starzy znajomi. Kupiec Rajchel wstał od stołu, mówiąc, że żał mu jechać, tak dobrze czuje się w domu gospodyni, jednak czas już na niego.

– Pani Zyto, z chęcią odwiedzę jeszcze panią, tymczasem ruszam w drogę. Chciałbym się jakoś odwdziżyć za tak wspaniałą gościnę i pomoc w kłopotcie. Zostawię pani kilka piskląt i dorodnego koguta. Miałem sprzedać je na targowisku, ale myślę, że pani zrobi z nich bardzo dobry użytek.

Gospodyni podziękowała za podarek, zapraszając kupca, by jeszcze kiedyś, będąc w tych stronach, odwiedził jej dom. Zaniósł pisklęta i wyjątkowo żywotnego koguta na podwórko, zabierając się do wieczornego obrządku. W ciągu kilku następných dni miała okazję przekonać się, jakim kłopotliwym podarkiem stał się owy kogut. Zadziorny był to ptak, z charakterem! Podkrażał paszę kurczętom, ganiał kury dookoła podwórka, a przy tym jego pianie było tak donośne i długie, że zrywało ze snu o nieludzkich porach. Gospodyni Bajglowa mawiała, że ptak ten w ogóle zdawał się nie spać i nie odpoczywać. Nie bał się również przebywających w gospodarstwie kotów. Podchodził do nich, gdy spały i naraz drapał kurzym pazurem, a gdy kot budził się, by zrobić porządek z niesfornym ptakiem, ten pędził już szalonym tempem przez podwórko, piejąc donośnie.

– To ci dopiero gagatek – mówiła, próbując złapać psotnego koguta.

Za jakiś czas kupiec Rajchel zajechał ponownie do bronowickiej wsi, by rozpytać, jak gospodyni sobie radzi. Opowiedziała mu o kłopotliwym kogucim podarku, a potem wspólnie śmiali się, jak charakterny jest kogut.

– Będzie z niego smaczny rosół, pani Bajglowa – odrzekł ze śmiechem kupiec.

Gospodyni dowiedziała się zaraz, że kupiec będzie częstym gościem w tej okolicy, gdyż szuka tu kawałka ziemi, na którym mógłby się osiedlić i stąd właśnie prowadzić kupieckie interesy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza to pani.

Pani Bajgłowa roześmiała się serdecznie, odpowiadając, że bardzo ucieszy ją towarzystwo nowego sąsiada.

– Tym bardziej, że piekarnia rozwija się i prosperuje coraz lepiej. Być może będę mogła zaangażować pana do pomocy?

Pożegnali się serdecznie i tym razem. Za kilka tygodni kupiec Rajchel oznajmił gospodyni, że sprowadza się do Bronowic, gdyż udało mu się zakupić tu niewielki dom, zaledwie kilkaset metrów od gospodarstwa pani Bajgłowej. Uradowała się pani Zyta na wieść, że tak blisko zamieszka sympatyczny sąsiad, i pomyślała, że zawsze łatwiej będzie, gdy obok jest ktoś życzliwy, kogo w każdej chwili można poprosić o pomoc.

Tak sprowadził się wkrótce Rajchel do wsi. Odwiedzał często panią Zytę, nie szczędząc komplementów jej wypiekom. Chętnie doglądał gospodarstwa podczas jej nieobecności spowodowanej pracą w piekarni i niejednokrotnie wstawał też wcześniej rano, by wspólnie z nią przywozić z najbliższego młyna worki z mąką, by mieszkańcy wsi mogli cieszyć się smakiem pysznych bochenków chlebowych, które wychodziły spod ręki utalentowanej gospodyni.

Aż pewnego ranka, bladym świtem, w jedną chwilę nieomal zburzony został cały dorobek zaradnej gospodyni i jej sąsiada. Cisza ciemnej nocy, która spowiła okolice Bronowic, została przerwana nad ranem niezwykle donośnym pianiem koguta. Nie był to dźwięk, który wydawał z siebie ptak co ranka; ten odgłos był znacznie bardziej donośny i nie ustawał przez dłuższy czas. Gospodyni zerwała się na równe nogi, tchnięta złym przecuciem. Wybiegła na nieoświetlony ganek i dostrzegła dym wydobywający się z okien jej piekarni.

„Pożar!” – przemknęło jej przez myśl, gdy biegła w popłochu w stronę budynku.

Zbudzony dziwnie przeciągłym pianiem koguta został także kupiec Rajchel



i w te pędy dołączył do gospodyni, by ratować cenny dobytek. Okazało się, że to jeden z piekarzy, paląc fajkę, przysnął za piecem chlebowym, a pył z fajki opadł na stochmal i zapalił go. Na szczęście w porę zreflektował się ów nieszczęsny piekarz i nim gospodyni z kupcem dobiegli do bram piekarni, trzymając wiadra z wodą, rozpoczął już akcję ratunkową. Zbiegli się wkrótce sąsiedzi ze wsi, zbudzeni krzykami i widząc unoszący się dookoła gęsty dym, i ruszyli na pomoc gospodyni. Nim ogień rozprzestrzenił się na dużej powierzchni, zduszono potężny żywioł. Gospodyni Bajgłowa podziękowała wszystkim, którzy nie zważając na niebezpieczeństwo, pomogli ratować piekarnię.

A kogut gagatek, którego pianie zbudziło domowników i zapobiegło ogromnemu nieszczęściu, doczekał się niezwykle oryginalnej pamiątki. Gospodyni zaczęła wypiekać bułeczki na kształt niesfornego ptaka, dzięki któremu, bądź co bądź, uratowany został los piekarni. Pszenne wypieki z chlebowym kogutem stały się wkrótce sławne w całej okolicy.



Jak wygląda Twoja ulubiona piekarnia?

(napisz lub narysuj)



Historia w książce zamknięta

Była już godzina 9, kiedy pan Jan Mincel otwierał swój sklep galanteryjno-kolonialny, mieszczący się w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu pod numerem 6. Kupiec miał powody do zadowolenia. Interes rozwijał się znakomicie od czasu, kiedy osiadł w Lublinie. Przybył do tego pięknego miasta z Czech. Odebrał staranne wykształcenie w progach szkoły elementarnej, a następnie gimnazjum gubernialnego. Cieszył się ogromnym szacunkiem wśród społeczności lubelskiej, a trzeba przyznać, że wiele dobrego zdziałał na jej rzecz. Brał udział w pracach komisji radnych miejskich, skupiając się na rozwoju oświaty i pomocy kupcom w rozwoju handlu towarami wszelakimi. Zwracali się do niego po pomoc w sprawach handlowych, a także wymieniali wzajemnie uwagi dotyczącego tego, jak poprawić sprzedaż towarów.

Sam sklep Mincla miał doskonałą renomę w mieście. Trzeba przyznać, że nie wyglądał jak typowy sklep, których w mieście było bez liku. Kupiec przemyślał każdy najdrobniejszy szczegół wystroju sklepu. Wnętrze przypominało dużą, przestronną piwnicę, wyłożoną towarami najróżniejszego gatunku: od przypraw po artykuły papiernicze i zabawki. Towary poukładane były w szafach, na półkach i w szufladach, a klienci, pragnący zakupić konkretne produkty, mogli bez trudu rozglądać się dookoła i przechadzać się po wąskim korytarzu, który mieścił skarby najróżniejszego gatunku. Tu wszystko poukładane było z pomysłem, choć na pierwszy rzut oka miejsce to mogło sprawiać wrażenie pomieszczenia pełnego przypadkowo poukładanych przypraw, guzików, artykułów papierniczych, zabawek czy też beczek i stosu drewnianych pak.

Kupiec uśmiechał się na wspomnienie, jak wyglądał jego przybytek, zanim powstał tu sklep. Kamienica przypominała rudere, którą poprzedni właściciel wystawił na licytację, nie mając już zapewne pomysłu, co można zrobić z nieco już zapomnianym budynkiem z piękną historią. Być może zabrakło sił i dobrej woli, dość rzec, że kamienica, przechodząc przez lata z rąk do rąk kolejnych właścicieli próbujących wskrzesić jej świetność z dawnych lat, trafiła w końcu do rodziny Minclów. Kupiec nie szczędził funduszy i wysiłków, by zbudować tu dobrze prosperujący biznes. Udało się po wielu latach, dzięki determinacji Mincla i zaufaniu, którym obdarzyli go mieszkańcy chętni kupować towary wszelakie w progach właśnie tego sklepu.

– Zakupy? Tylko u Mincla – mawiali mieszkańcy Lublina. – Jego sklep jest najlepiej zaopatrzony w mieście, a przy tym właściciel zawsze szczerze doradzi, jaki towar danej kategorii jest najlepszy.

Cieszyły starego Mincla te opinie, tym bardziej, że wiedział, jak trudne jest utrzymanie zainteresowania klienta, gdy konkurencja nie śpi, co rusz czekając na spotkanie innych, którzy działają w tej samej branży. Dlatego starał się co sił, by sklep lubelski nie odstępował standardom innych, na których wzorował się, widując je w trakcie podróży poza granice miasta. Kupiecki zmysł raczej go nie zawodził, a że uczył się chętnie od innych, co rusz przywoził do Lublina nowe pomysły. Najważniejsza zasada, którą poznał podczas wymiany kupieckich doświadczeń z innymi handlarzami, to urządzanie wystaw sklepowych.

– Okna powinny zwracać uwagę przechodniów już od momentu spaceru po ulicy, na której znajduje się sklep – mawiał Mincel podczas spotkań z zaprzyjaźnionymi kupcami. – Dlatego muszą być nie tylko świadectwem zasobności sklepu w towary, lecz także znakiem kreatywności właściciela sklepu.

Wystawy sklepu kolonialnego Mincla były żywym przykładem na stosowanie tej złotej myśli w praktyce. Przede wszystkim całe mnóstwo zabawek, przed którymi zatrzymywały się dzieci, radośnie uśmiechając się i pokazując dłońmi cuda za szybką wystawę sklepowej. A było na co popatrzeć! Cyrkowy pajac, wyskakujący z pudełka przy dźwiękach wesolej melodyjki, papierowy kogut, kręcący się na

drewnianym patyku czy też grająca pozytywka, kryjąca w swym wnętrzu parę tancerzy, obracających się delikatnie w rytm spokojnej muzyki, która wydobywała się z wnętrza barwnego pudzderka.

Klientom szczególnie zapadał w pamięć zapach wnętrza sklepu. Unosił się tam delikatny aromat przypraw korzennych, cukru, owoców i czekolady, pomieszany z innymi aromatami przeróżnych towarów kolonialnych. Znajdujący się na tyłach sklepu niewielki pokoik służył za gabinet, w którym kupiec odpoczywał, obserwując podwórko przyległej do sklepu ulicy Koziej przez zakratowane, niewielkie okno.

Szczególnie upodobał sobie jego sklep pewien młodzieniec imieniem Aleksander, który bywał tu kilka razy w tygodniu, zakupując głównie papier i artykuły mydlarskie. Zwrócił szczególną uwagę kupca Mincla, zawsze bowiem wdawał się z nim w uprzejme pogawędki, pytając o kondycję sklepu czy też wyrażając szczerze zainteresowanie sprzedawanymi towarami.

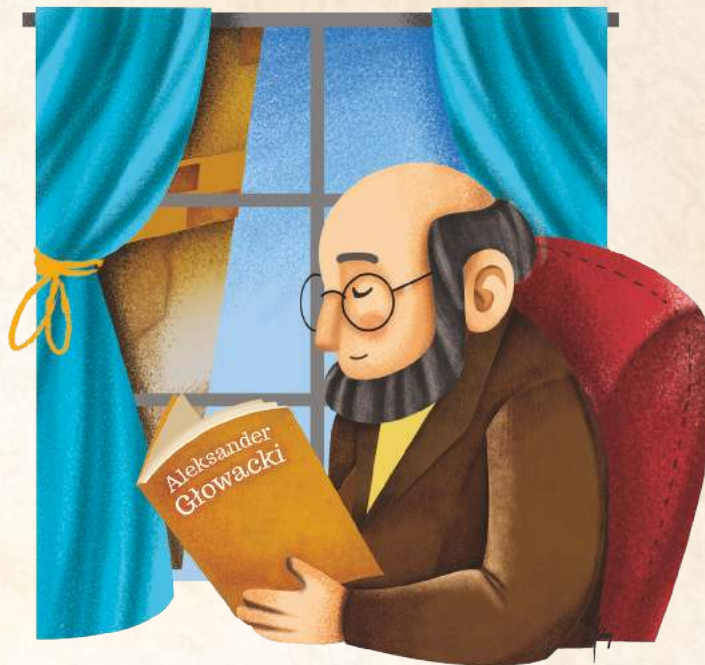
– Interesuję się kupiectwem – wyjaśniał młody człowiek – a o pana sklepie słyszałem same dobre rzeczy. Mieszkam w pobliżu, w kamienicy przy ulicy Olejnej wraz z moim wujostwem. Pomagam im przy sprawunkach, kiedy wracam ze szkoły.

Mincel cieszył się z zainteresowania młodzieńca jego sklepem, a że sam nie był już najmłodszy, pomyślał, że przydałaby mu się pomoc.

– Młody adept sztuki kupieckiej może się sporo nauczyć, a przy okazji odciąży mnie nieco w codziennych obowiązkach – zaproponował pewnego razu właściciel.

Chłopak przyjął propozycję kupca z prawdziwą radością i nie krył dumy, że będzie mógł uczyć się u jednego z mistrzów kupieckiego fachu. W tamtych czasach pryncypał był nauczycielem swoich praktykantów. Istniała niepisana zasada, że winien traktować ich jak ojciec synów, by umożliwić im wszelką sposobność zdobycia wiedzy potrzebnej w kupieckim fachu. Zgodnie z kupieckim zwyczajem obydwie strony, mistrz i uczeń, zobowiązywały się do starannego wykonywania swojej pracy i nieszczerdzenia wysiłków w rozwoju zarówno sklepu, jak i swoich umiejętności handlowych, w sumiennej pracy na rzecz sklepu i jego właściciela.

Młodzieniec ochotczo przystąpił do pracy. Co dzień w godzinach popołudniowych, gdy kończył pobierać nauki w pobliskim gimnazjum, z ochotą stawiał się przy bramie



sklepu Mincla, by pomagać pryncypałowi w popołudniowej zmianie. Przebywał w sklepie aż do wieczora, kiedy ostatni klient opuszczał jego drzwi, niosąc ze sobą cały kosz dóbr. Mincel uczył go trudnej sztuki rachunków, prowadzenia zapisków i utrzymywania porządku w dokumentach, bez których sklep nie będzie funkcjonował prawidłowo. Młodzieniec słuchał mistrza uważnie, zadając wiele pytań. Nie bał się także pracy fizycznej, o której wielu terminujących u kupców zapominało.

– Rolą dobrego handlarza jest nie tylko dbanie o ekspozycję towarów. To przede wszystkim ciężka, fizyczna praca – mawiał Mincel.

Aleksander dokładnie rozumiał zasady rządzące handlem, dlatego też wspierał swojego mistrza w każdym działaniu. Klienci chwalili zaangażowanie młodego adepta sztuki handlowej. Pomagał przy cotygodniowych dostawach towarów, prowadził księgi rachunkowe, podpatrywał przy pracy mistrza, nie bał się dopytać o wszystko, co stanowiło dla niego trudność, a mogło przydać się w codziennej pracy. Widział, z jak wielkim zaangażowaniem pracuje stary Mincel. Bywał w sklepie nawet w niedzielne popołudnia, wracając z kościoła. Praktykant podziwiał zaangażowanie kupca, który tłumaczył, że sklep nie może pozostać bez opieki.

Przesiadywał często przy Minclu, gdy ten zadawał mu liczne pytania o użyteczność poszczególnych przypraw, przeznaczenie materiałów i artykułów papierowych czy też sposoby ekspozycji towarów na wystawie sklepowej, sprawdzając wiedzę praktykanta. Widząc, jak wielkie postępy robi uczeń, Mincel pomyślał nawet o wysłaniu go do szkoły kupieckiej, która dzięki wysiłkom okolicznych rzemieślników i wsparciu majątnych włodarzy miasta, otworzyła jakiś czas temu swoje podwoje dla wszystkich pragnących doskonalić się w fachu kupiectwa. Oczyma wyobraźni widział już mistrz, jak kiedyś, gdy przyjdzie czas, przekaze interes w ręce zdolnego subiekta. Jak wielkie było zdziwienie Mincla, gdy praktykant nagle posmutniał na wieść o planach kupca.

– Panie Janie, o niczym innym nie marzę – odparł pewnego dnia. – Jednak z wielkim bólem zmuszony jestem odrzucić pana propozycję. Wujostwo wysła mnie na nauki do Warszawy. Wkrótce będę musiał opuścić pana sklep. Dziękuję za wszystko.

Niezmiernie smutna była to wieść dla kupca Mincla. Rozumiał, że młodzieniec znalazł się w kłopotcie, bo chcąc realizować swój pomysł na przyszłość, jednocześnie nie chciał zasmucić wujostwa.

– Mam nadzieję, że odwiedzisz jeszcze mój sklep. Zrobięś wiele dobrego dla rozwoju interesu.

Aleksander pozostał w sklepie jeszcze przez kilka tygodni. Po upływie tego czasu pożegnał się serdecznie ze starym Minclem, który, wzruszony, obiecał pamiętać o uczniu, zapewniając go, że sklep pozostanie miejscem zawsze dla niego otwartym. Praktykant uściskał dłoń swego mistrza, który wprowadzał go w tajniki sztuki handlowej przez ostatnie lata.

– Myślę, że to jeszcze nie koniec naszej wspólnej drogi. Za jakiś czas odezwę się do pana – odrzekł, uśmiechając się lekko.

Po wyjeździe praktykanta kupiec znowu pozostał sam. Było mu nieco ciężiej, bo zdołał już przyzwyczaić się do wspólnie spędzanych wieczorów, podczas których razem liczyli utarg z danego dnia, przeglądali dostawy czy też zmieniali ekspozycje zabawek na głównej wystawie, widocznej od strony ulicy. Z prawdziwą tęsknotą

spoglądał Mincel na fotel ustawiony w jego gabinecie, na którym czasem zwykł siadać młody uczeń, zafascynowany tym, co działo się na podwórzu, na które wychodziło okno. Przyznawał sam przed sobą, że traktował go jak syna.

– Takie są jednak koleje losu – mówił – że ludzie, których spotykamy na drodze, uczą nas czegoś, a potem idą dalej, niesieni przez wiatr życia.

Nie zapomniał Mincel o swym praktykancie, a biznes dalej się rozwijał, przynosząc kupcowi niemałe dochody. Zmieniały się pory roku, mijały lata, w trakcie których wymieniali między sobą serdeczną korespondencję.

Jednak po jakimś czasie Aleksander przestał się odzywać. Mincel, nieco zmartwiony, tłumaczył sobie, że chłopak jest teraz pochłonięty swoimi sprawami i z pewnością odezwie się, kiedy przyjdzie na to pora. Stary kupiec niewiele się pomylił w tym względzie. Pewnego dnia bowiem do jego sklepu dostarczono niewielkich rozmiarów pakunek.

– Proszę pokwitować, panie Mincel. Przesyłka z Warszawy – odparł tragarz.

Kupiec zdjął szary papier, w który zapakowana była paczka. Jego oczom ukazał się rękopis książki. Mincel z zaciekawieniem przyjrzał się dedykacji, którą umieszczono na pierwszej stronie. Znajomy charakter pisma przywiódł mu na myśl tylko jedną osobę, która mogła przysłać mu ten podarek. To jego uczeń, Aleksander, podzielił się z nim pierwszym dziełem zrodzonym z literackiej pasji.

W wolnych chwilach kupiec Mincel siadał na zapleczu, rozczytując się w powieści, którą napisał jego dawny praktykant. Chłopak zawarł w niej dzieje jego sklepu z ogromną dokładnością co do detali i zdarzeń, które miały miejsce w trakcie ich wspólnego, kupieckiego życia. Wzruszył się Mincel niepomiernie, że jego skromna osoba i wysiłki, które poświęcił na rozwój sklepu, zostały upamiętnione na kartach książki.

Książki, którą po dziś dzień znaleźć można w niejednej bibliotece i która jest świadectwem osobistych doświadczeń autora, Aleksandra Głowackiego. Przez wiele lat czytelnicy książki mieli możliwość wrócić na chwilę do uroczego sklepu w kamienicy w centrum miasta. Sklepu, który zapisał się w pamięci zdolnego ucznia jako miejsce nierozzerwalnie związane z pięknymi latami młodości.

Jaka jest Twoja ulubiona bajka?

(napisz lub narysuj)



O uczuciu w rzeźbie zaklętym

Na przełomie XVI i XVII wieku pieczę nad miastem Lublin sprawował rajca Sebastian Konopnica. Był to człowiek z zamożnej rodziny z tradycjami. Od wczesnych lat młodości zdobywał staranne wykształcenie, by szlachetny swój ród dumnie reprezentować w służbie na rzecz miasta tak umiłowanego przez członków jego rodziny. Poświęcał pracy niemal każdą wolną chwilę, czuwając nad sprawami mieszkańców i nie szczędząc wysiłków, by miasto piękniało. Godnie reprezentował Lublin, piastując odpowiedzialną funkcję burmistrza i jak na prawdziwego włodarza miasta przystało, szczególną troską otaczał zabytkowe kamienice o historycznej ważności. Twierdził, że nic tak nie świadczy o statusie miasta, jak zadbane budynki.

– Zabudowa miasta jest jak serce każdego żywego organizmu. Gdy nie dba się o nie, obumiera, a wraz z nim ulatuje powoli życie – przemawiał na miejskich zebraniach, sypiąc hojnie groszem na szczytny cel ratunku cennych budowli, które zostały już przez innych spisane na straty.

Żonaty był z kobietą niezwyklej urody, Katarzyną Kretkówną. Przyznać trzeba, że małżonkowie pięknie razem wyglądali. On – dostoiny urzędnik, ona – panna z bogatego rodu, obdarzyła go gorącym, młodzieńczym uczuciem. Katarzyna, spośród wszystkich malowniczych miast, które zdołała zwiedzić w czasach swej młodości, gdy kształciła się i podróżowała, właśnie Lublin umiłowała najmocniej i tu zapragnęła osiedlić się, by kiedyś opowiedzieć o pięknie tego miejsca swoim dzieciom. Podarowała małżonkowi w wianie piękną,

renesansową kamienicę, mieszczącą się na Starym Mieście pod numerem 12. Radowali się wspólnie młodzi małżonkowie, urządzając się tutaj. Oczyma wyobraźni widzieli już, jak w największym pomieszczeniu z widokiem na piękne Stare Miasto biegają radośnie dzieci.

– Spójrz, kochany – mówiła do męża czule Katarzyna, wyglądając przez okno – czyż Lublin nie jest najwspanialszym miastem, jakie dane nam było zobaczyć?

Mąż przyznawał jej rację, czując w tych szczególnych chwilach dumę, że na rzecz Lublina może pracować i swoją pomocą społeczności służyć. Konopnica rozbudował kamienicę, która stała mu się tak droga, nadając jej nowy blask, którego wcześniejsi właściciele nie potrafili wydobyć. Budynek piękniał w oczach, zyskując dodatkowe piętra i przestrzeń.

Mijały lata, rodzina Konopniców doczekała się trójki dzieci: dwóch synów – Aleksandra i Andrzeja oraz córki Barbary, która zajmowała szczególne miejsce w ojcowskim sercu. Katarzyna mawiała, że córka jest oczkiem w głowie swego ojca, i sporo było w tym prawdy. Konopnica czułą ojcowską troską otaczał każde ze swych dzieci, pilnując, by odebrały staranne nauki i by reguły dobrego zachowania w towarzystwie nigdy nie były im obce. Jednak to właśnie córka zdawała mu się być szczególnie delikatna i krucha. Dlatego rozczulał się zawsze, gdy siadywała mu wieczorami na kolanach, prosząc, by ukochany tatko opowiedział ciekawą historię, których zawsze miał w zanadrzu bez liku.

– Opowiedz, tatku, jak to dawniej bywało – prosiła zawsze dziewczynka, rozchmurzając oblicze ojca, zmęczonego po dniu ciężkiej pracy.

Synów nudziły ojcowskie opowieści. Woleli bawić się i odgrywać sceny wojenne, biegając po schodach kamienicy, jak najdoskonalsi żołnierze po polu bitewnym. Basia tymczasem, zasłuchana w opowieściach ojca, wpatrywała się w niego z podziwem, zadając liczne pytania o bohaterów dawnych lat, rodzinę ojca i o to, jak Lublin wyglądał przed laty, nim ojciec podjął trud pracy na rzecz miasta. Konopnica pokładał w niej wielkie nadzieje, myśląc, że gdy córka dorośnie, przekaze jej ważne funkcje społeczne, tak, by mogła zastąpić go w pracy.

– Moja perełka – szeptał, widząc ją roześmianą, gdy biegała po kamiennych schodach, próbując dogonić umykających w gonitwie braci.

Dzieci rosły i napawały dumą rodziców.

– Ród Konopniców słynie z odważnych, przedsiębiorczych mężczyzn – chwalił się Konopnica. – Podobnie jak dziewczęta, których krasne oblicza od lat napawają radością mężów tej zacnej rodziny.

Trzeba przyznać, że dorastająca panienka Basia wzbudzała niemałe zainteresowanie wśród młodzian, którzy oglądali się za nią, ilekroć wysiadała z kolaski, krocząc dumnie przez miejski rynek. Młodzieniaszkowie marzyli o spotkaniach z nią i spacerach wśród miejskich uliczek, jednak zdawali sobie sprawę, że ojciec nie odda ręki córki byle komu.

– Strzeże jej jak oka w głowie – szeptali do siebie chłopcy – a ona, zdaje się, też nie spojrzy na tych, którym ojciec jest wyjątkowo nieprzychylny.

Wzdychali cicho, widząc roześmianą, rumianą twarzyczkę panny Basi, którą zdawało się bawić całe to zamieszanie. Panienka miała wielu kolegów wśród swych rówieśników, jednak żaden, jak dotąd, nie wzbudził w niej tak wielkiego zainteresowania, by mógł pretendować do miana towarzysza na dobre i na złe. Do czasu jednak, bo razu pewnego do miasta zajechał młody szlachcic, właściciel podlubelskiego majątku Rudnik – Jan Rudnicki.

Był to niezwykle przystojny i rozrywkowy młodzieniec, obiekt westchnień wielu serc niewieścich. Lubił zabawę i często oddawał się rozrywkom, które oferowało życie kulturalne ówczesnego Lublina. Otoczony wianuszkami dziewcząt, podkręcał zawsze zawadiacko wąsa, ruszając w tany w karczmach Starego Miasta. Los kręty postawił pewnego dnia na jego drodze urodziwą Basię Konopniczanek. Zapalali do siebie gorącym uczuciem, ku niezadowoleniu ojca panienki, do którego dotarła już zła sława o hulaszczym trybie życia wybranka córki. Nie pomagały rozmowy i wzmożona kontrola rodzica nad córką.

– Córko, to nie jest partia dla ciebie. Rozrywkowy bawidamek nie zapewni ci spokoju, o który moje ojcowskie serce troszczyło się całe twoje życie. Poza tym, szerokim echem niesie się wieść o długach, w które popadła rodzina Rudnickich.

Są biedni jak myszy kościelne, a ich liche gospodarstwo nie będzie nigdy domem dla mojej najmilszej córki.

Uczucie Basi do szlachcica Rudnickiego było silniejsze niż argumenty zatroskanego ojca. Wymykała się coraz częściej z domu potajemnie, gdy obowiązki zatrzymywały ojca w ratuszu.

– Choć chwilę побыć z tobą, kochany – szeptała czule do Rudnickiego, gdy ten dając jest wcześniej umówiony znak o swym przyjeździe do miasta, witał ją z naręczem najpiękniejszych kwiatów.

Ojciec dowiedziawszy się o spotkaniach młodych, szalał ze złości. Radził się żony, cóż począć, jednak matka, chcąc zażegnać konflikt ojca z córką, gotowa była ten związek pobłogosławić.

– Oni tak bardzo się kochają, jak my przed laty – próbowała uspokoić starego Konopnicę jego żona.

Ten był jednak nieprzejednany. Słyszeć nie chciał nawet, że po latach troski, opieki i ogromnym wysiłku ojcowskim, by dziecku zapewnić, co tylko najlepsze, ma oddać jedyną córkę w ramiona biedaka hulaki.

– Nigdy! – krzyczał Konopnica. – Nigdy nie zhańbi się w ten sposób nasza znamienita familia.

I zakiełkował w głowie Konopnicy okrutny plan, by córkę wydać przymusowo za mąż za Hanusa, syna jednego z miejskich rajców, młodzieńca niezwykle zamożnego i kształconego w świecie. Oznajmił swój zamiar córce, która wybuchła straszliwym płaczem, krzyząc, że nigdy swej ręki nie odda komuś, kogo nie kocha. Ojciec był nieprzejednany. Hardo obstawał przy swoim, nie chcąc słyszeć nawet słowa sprzeciwu. Załamała się panna Basia, słysząc, że ojciec zdecydował już o jej przyszłości. Zamknęła się w pokoju na poddaszu, szlochając żałośnie. Z ogromnym bólem przypominała sobie chwile, w których ojciec gładził ją czule po włosach, mówiąc, że jest dla niego cenniejsza niż wszystkie klejnoty na ziemi. Tak odległe wydawały jej się te chwile!

Matka próbowała mediować i załagodzić konflikt, jednak Konopnica postanowił co prędzej doprowadzić sprawę do końca. W tej sytuacji Basia nie

widząc nadziei na zmianę przesądzonego już losu, posłała przez przyjaciela sekretny list do Rudnickiego. Wyjaśniła, co stało się w domu i poprosiła o ostatnie w życiu spotkanie, by mogła choć raz jeszcze zatopić się w ramionach ukochanego i odejść, skazana na smutne życie decyzją wszechwładnego ojca. Rudnicki odpisał za kilka dni, by nie traciła nadziei, bo nie wszystko jeszcze stracone. W krótkim liście poprosił o spotkanie o umówionej godzinie na mszy w kościele, w dniu, w którym miały odbyć się zaręczyny Basi i dziedzica Hanusa. Zdziwiła dziewczynę ta prośba, jednak wierząc, że ukochany nie zostawi jej samej w kłopotcie, udała się w wyznaczonym dniu na mszę wraz z matką. Ojciec niczego nie podejrzewał, dlatego też został w domu, zajęty ostatnimi przygotowaniem do uroczystości oficjalnych zaręczyn, które miały odbyć się kilka godzin po mszy.

Panna Basia dojrzała wybranka, wchodząc do kościoła. Zima tego roku była wyjątkowo śnieżna, toteż Rudnicki zajechał pod kościół saniami, czekając w tylnej nawie na zakończenie nabożnej uroczystości. Nieświadoma niczego Konopniczanka, zalana łzami, podeszła do ukochanego, by po raz ostatni obdarzyć go pożegnalnym pocałunkiem, gdy ten, niczym zwinne zwierzę, porwał ją w objęcia, usadził na saniach i ruszył co siłą, poganiając konie. Pędzili jak błyskawica, nie rozglądając się za siebie, by zniknąć zaraz za Bramą Krakowską, w odmętach śnieżnego pyłu.

Wszczęte przez oszalałego z wściekłości i rozpaczony ojca poszukiwania na niewiele się zdały. Szukano młodych w majątku Rudnickiego, szukano w całym mieście, przypadli bez wieści. Ktoś mówił, że widziano ich w drodze do Lwowa, jednak pogłoski te nie zostały sprawdzone. Ojciec nigdy nie wybaczył córce, mimo usilnych błagań smutnej matki, która do końca wierzyła, że córka podjęła dobrą decyzję, idąc za głosem serca i że gdzieś tam, w świecie, jest szczęśliwa w objęciach tego, który tak mocno ją ukochał.

Wkrótce posłaniec przyniósł list adresowany do Konopnicy. To córka pisała do ojca, że jest szczęśliwa i wyszła za mąż nie z przymusu, lecz z wielkiej miłości. Prosiła o błogosławieństwo, by móc cieszyć się nowo związaną rodziną wraz z pochwałą ojca. Nie dał się jednak Konopnica przekonać i do końca swych dni, ku

rozpaczy córki, żywił do niej urazę za to, czego dopuściła się, wiedzona żarliwym uczuciem.

Rudniccy cieszyli się dobrym zdrowiem i żyli długo, wśród licznej gromadki dzieci i wnuków. Tylko czasem Barbara spoglądała tęsknie w okna majątku w Rudniku, rozmyślając o tym, jak miewa się teraz ojciec, i zastanawiając się, czy dawniej ukochana przez niego córka ma jeszcze odrobinę miejsca w jego zatwardziałym w uporze sercu. Zdarzało jej się cicho zapłakać nad kolejami burzliwego losu. Wiedziała jednak, że nie jest sama.

Powiadali ludzie, że o historii miłości tych dwojga przypominały rzeźbione na fasadzie rodzinnej kamienicy Konopniców piękne zdobienia, których czar przyciągał wzrok przechodniów. Szlachcic Rudnicki dotrzymał młodzieńczej przysięgi i opiekował się czule rodziną do ostatnich dni.



Która z kamienic Starego Miasta
podoba Ci się najbardziej?

(napisz lub narysuj)



Magia muzyki

W wieku XVI, w barwnym okresie renesansu, gdy rozkwit przeżywały wszelkie dziedziny sztuki, w miejscowości Kraśnik działał i tworzył znany muzyk imieniem Jan. Był samotnikiem, oddanym służbie Bogu i bliźnim w pobliskim klasztorze kanoników. Szczególnym upodobaniem darzył utwory sakralne. Komponował liczne pieśni religijne, ubarwiając mieszkańcom liturgię przepiękną grą na organach. Starsi mieszkańcy miasta niejednokrotnie ocierali łzę wzruszenia, słuchając przejmujących tonów nabożnych pieśni, które wypływały spod zręcznych palców muzyka, uderzających o organowe klawisze.

– Prawdziwa uczta niebiańska dla ucha tutaj na ziemi – mawiali także kapłani dumni, że służbę na chwałę Boga pełni w ich kościele tak utalentowany artysta.

Muzyka sprawiała mistrzowi Janowi niezwykłą przyjemność. Wykorzystywał każdą sposobność, by rozwijać swój warsztat. Zwykł nosić przy sobie pióro i pergamin, na którym spisywał dźwięki otaczające go zewsząd świata. Śpiew ptaków, odgłos maszyn wybijających rytmy w pobliskich fabrykach, ćwierkanie wróbla, który właśnie przysiadł na gałęzi – wszystko to mistrzowska ręka muzyka zamieniała w obraz nut, który przelany na papier stanowił bazę późniejszych kompozycji melodycznych.

Mistrz Jan kształcił się w ośrodkach muzycznych o uznanej renomie w Krakowie i we Włoszech, gdzie początkowo pragnął rozwijać muzyczne odkrycia. Jednak tęsknota za krajem przywiodła go z powrotem w rodzinne strony i zdecydował, że miłością do muzyki podzieli się z mieszkańcami swego rodzinnego miasta. Bogata kolekcja zapisów nutowych historycznych pieśni religijnych stanowiła jego prawdziwą dumę. Strzegł swych zbiorów jak oka w głowie i nie



ustawał w odnajdywaniu sposobów na pozyskiwanie kolejnych egzemplarzy, powiększając swoją kolekcję. W tym celu udawał się na okoliczne targi oraz nawiązywał korespondencję z muzykami, których poznał podczas licznych podróży. Muzyka zajmowała całe jego życie. Z całą energią oddawał się dziełu swojego życia, jak zwykł mawiać o tworzeniu obszernego zbioru pieśni religijnych i świeckich. Tabulatura organowa mistrza Jana, pieczołowicie przez niego uzupełniana, stanowiła najcenniejszy przykład jego muzycznych odkryć.

Szczególnie interesowały go tańce, których zapisał tam kilkanaście.

W poszukiwaniu inspiracji mistrz Jan udawał się często do pobliskiego Lublina, gdzie spotkać można było wesołych grajków i tancerzy, którzy występowali ochoczo na jarmarkach i straganach gęsto rozstawionych na uliczkach handlowych miasta. Jakże radosne to były wyprawy! Barwny korowód przedstawicieli różnych grup społecznych przemieszczał się wąskimi ulicami wśród gwaru handlarzy i pokrzykiwań kupców. Cała gama dźwięków, które stanowiły o handlowym charakterze miasta, towarzyszyła mistrzowi Janowi za każdym razem, gdy zajeżdżał do bram miasta. Nie interesowały go jednak ani drogocenne tkaniny, które kupcy zwozili z najodleglejszych stron na jarmarki, ani też wartościowe przyprawy korzenne czy wykwintne w smaku węgierskie wina. Liczyła się jedynie muzyka.

– To musi być prawdziwy pasjonat – powiadali goście jarmarków, którzy często mijali na targach mężczyznę pochylonego nad skrawkiem papieru. – Ciekawe, nad czym tak pracuje?

Uśmiechali się do niego, a on pozdrawiał ich serdecznie, nie przerywając pracy. Powtarzał, że natchnienie to bardzo ulotna chwila i należy w pełni wykorzystać moment, który twórca ma dla siebie. Po skończonych jarmarkach mistrz nie spoczywał jeszcze. Udawał się do karczmy na Starym Mieście przy ulicy Rynek 16, by patrzeć, jak odpoczywają i bawią się utrudzeni codzienną pracą od świtu kupcy. A były to barwne widowiska! Zbierali się najczęściej w szynku kamienicy Mężykowskiej, zwanej tak od nazwiska poprzedniego właściciela, Stanisława Mężyka.

Był to dwupiętrowy budynek z trzema kondygnacjami piwnic. Burzliwy wiatr miejskich dziejów sprawiał, że budynek kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Dopiero decyzja o usytuowaniu tutaj karczmy sprawiła, że przybywali tu licznie goście, najczęściej kupcy i rzemieślnicy, wśród których zasiadał również mistrz Jan.

Z początku tylko obserwował wesołe tańce i hulaszczcze zabawy kupieckie. Ileż niepohamowanej radości było w tych ludziach! Posileni dobrym jadłem i smakowitym trunkiem – a tych w karczmie było pod dostatkiem – ruszali w tany, przyspiewując przy tym radośnie. Bywało i tak, że zabawy przeciągały się do białego rana, ku zadowoleniu zgromadzonej gawiedzi. Mistrz Jan słuchał, obserwował, notował. Nic nie uszło jego uwadze. Nawet najdrobniejszy szczegół, najcichszy dźwięk, szept czy też gwizd przyciągały jego mistrzowskie ucho i uwagę.

– Muzyka jest kluczem do poznania charakteru człowieka – twierdził mistrz i tym przekonaniem starał się dzielić z każdym, kto przysiadł się do niego, pytając o skrzętnie skrywane, pergaminowe zapiski.

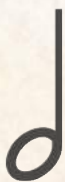
Po pewnym czasie sam zapragnął dołączyć do wesołej kompanii, której radosny sposób bycia udzielał się wszystkim współbiesiadnikom, goszczącym aktualnie w progach karczmy.

– Raz, dwa, ruszyli w tan! – dało się słyszeć co wieczór, gdy muzyka zaczynała przygrywać.

Nogi same ruszały do tańca, a barwne spódnice kupieckich gospodyń oraz eleganckie kapelusze gospodarzy wirowały w radosnych obrotach wewnątrz karczmy.

Z czasem mistrz Jan przysiadł się do gości, nawiązując rozmowę. Nie zawsze było to łatwe zadanie, zwłaszcza gdy wesołą kompanię stanowili goście z najodleglejszych stron świata, którzy przybywali do Lublina w ramach handlowej wymiany towarów.

– Językowy zawrót głowy! – mówił mistrz Jan, słuchając dialektów z różnych stron świata.



Szybko odnalazł sposób, w który można dołączyć do wspólnej wymiany doświadczeń i myśli.

– Nic tak nie łączy ludzi, jak muzyka – stwierdzał, po czym rozpoczynał radosne przygrywki na harmonijce, którą nosił zawsze ze sobą w połaci długiego płaszcza.

Porwani do muzycznej zabawy goście szybko zapominali o trudnościach w porozumieniu się i choć początkowo zdziwieni, kim owy gość jest i czego może od nich chcieć, dawali się ponieść chwili, odwdzięczając się tym samym. Przybysze z różnych stron świata pląsali w barwnym pochodzie kolorowych strojów, rozmaitych dźwięków i wielojęzycznego gwaru, przerywanego salwami śmiechu.

Ciężkie były poranki po takich zabawach! Serwowane w karczmie trunki i jadło: miody pitne, wina z najlepszych winnic francuskich i węgierskich oraz przekąski lokalnej kuchni rozkoszowały podniebienia gości, którzy niejednokrotnie nie chcieli opuszczać bram karczmy. Mistrz Jan wraz z nadejściem poranka spisywał dokładnie wszystkie pieśni, tańce i utwory, które usłyszał przez noc. Zadowolony, wracał do Kraśnika, by odpocząć po trudach podróży.

– Muzyka to balsam dla duszy, chwila zapomnienia – mówił mistrz Jan, skupiony nad kolejnym zapisem.

Sporządzał je w języku łacińskim. Jan martwił się czasem, co stanie się z kolekcją zebranych zapisów nutowych, gdy jego czas dobiegnie końca. Posługując co dzień Bogu i bliźnim, nie miał dziedzica, któremu mógłby przekazać cenne zbiory i nauczyć go podstaw sztuki muzycznej. Zaszczepiał tę miłość w swych uczniach, którzy podziwiali jego niezwykły talent. Spełniał się w pracy nauczycielskiej, wykładając historię muzyki w szkołach.

– Mistrzu, gdzie szukać dźwięku? – pytali często uczniowie, obserwując profesora na szkolnym korytarzu, gdy wystukiwał rytm bębniącego o szybę deszczu czy też przystawiał ucho do szyby, gdy na zewnątrz hulał wiatr.

– Dźwięk jest wszędzie. Trzeba tylko nadstawić uszu – odpowiadał.

Los okazał się łaskawy dla mistrza Jana. Przeżył długie lata w zdrowiu, krzewiąc muzyczne tradycje wśród nowych pokoleń młodzieży. Nie przestał odwiedzać ulubionej karczmy. Ogromny smutek zapanował wśród mieszczan zarówno Lublina, jak i Kraśnika, gdy wiele lat później dowiedzieli się, że niebiosą, w służbie którym oddał swe życie mistrz Jan, wezwały go na wieczny spoczynek.

Kamienica, w której progach bawił latami, została nazwana na jego cześć kamienicą Muzyków i po dziś dzień zdobi ją podobizna mistrza Jana, któremu miejscowi nadali przydomek Jana z Lublina.



Jakie masz ulubione wspomnienie z Lublina?

(napisz lub narysuj)



Publikacja została wydana w ramach projektu „Lubelska Dzielnica Kreatywna” (okres realizacji 2017--2021). Projekt „Lubelska Dzielnica Kreatywna” ma na celu gospodarcze ożywienie rewitalizowanego obszaru poprzez wsparcie działalności rzemieślniczej, promocję ulicy Lubartowskiej i jej okolic jako miejsca, gdzie można skorzystać z usług przedstawicieli tzw. ginących zawodów, wsparcie kreatywności przedsiębiorców, którzy już funkcjonują na tym obszarze, przyciąganie do Śródmieścia przedsiębiorców kreatywnych i tworzenie dla nich tzw. brudnych pracowni.

Działania w ramach projektu „Lubelska Dzielnica Kreatywna”

Remont bazy lokalowej

- Dodatkowe dofinansowanie remontu wybranego lokalu miejskiego
- Obejmuje remont instalacji i urządzeń trwale związanych z budynkiem

Konkurs „Kreatywne przemiany”

- Przedsiębiorcy składają propozycje rozwoju swojej działalności
- Zwycięzcy biorą udział w warsztatach wykańczania i dekoracji wnętrz zorganizowanych w ich lokalu
- Warsztatom towarzyszy doradztwo biznesowe

Warsztaty dla mieszkańców

- Warsztaty krawieckie dla dzieci z ul. Lubartowskiej i innych dzielnic miasta
- Warsztaty z renowacji przedmiotów zabytkowych i artystycznych
- Warsztaty ze stylizacji mebli farbami kredowymi

Konkurs na stworzenie kreatywnej pracowni

- Konkurs skierowany do przedsiębiorców kreatywnych i rzemieślników z okolic ulicy Lubartowskiej oraz innych części miasta
- Nagrodą w konkursie jest grant na stworzenie lub rozwój pracowni

Wsparcie promocyjne dla branży kreatywnej i rzemiosła

- Wydawanie publikacji dotyczących tradycji kupieckich i przedsiębiorczości kreatywnej
- Sieciownie i organizacja wydarzeń
- Promocja poprzez wykorzystanie kanałów internetowych.

Osoby zainteresowane współpracą w ramach projektu lub uczestnictwem w działaniach projektowych zapraszamy do kontaktu z Wydziałem Strategii i Obsługi Inwestorów Urzędu Miasta Lublin.

